tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 34 (1133) ROK XXII 26 SIERPNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Koniec wakacji

Major wprowadził ich w półmrok wyludnionego korytarza, z dwoma gońcami zamarłymi u drzwi. Szedł przodem. Był wysoki, szeroki w barach i młodzieńczo wąski w biodrach. Ruchy miał nawykłe do musztry, niczym podoficer, który ćwiczy rekrutów.

(WACŁAW BILIŃSKI)

Dzieje jednej fabryki

Najciekawszy okres w życiorysie „Eskimo" przypada na lata powojenne, szczególnie zaś — siedemdziesiąte, które (...) przyniosły dla fabryki ogromne zmiany. Nic więc dziwnego, że wkrótce za nowoczesnością wkroczyli do „Eskimo" reporterzy.

(TOMASZ SOLDENHOFF)

„Telewizję mamy w domu"

Jestem snowaczem osnów na krochmalni, od czterdziestego piątego roku, od 17 listopada. Przeczytałem reportaż Adamieckiego, to jest takie życie nasze, ludzkie. Ja pracuję bez przerwy 34 lata. Nie wiem, czy moje życie było ciekawsze od Piestrzyńskiego.

(JERZY DARNAL)

PONADTO:

Kiedy sport rodził się w Łodzi
Na starej drodze
Poezja, proza
W świecie
Felietony, recenzje
„Załącznik"

Przez radio spiker zapowiedział przelotne opady. Nasilenie deszczu miało być jednak na Wybrzeżu, natomiast w „pasie dzielnic centralnych" jedynie sporadyczne mżawki. Ale zaraz za Zgierzem zwalił się na ziemię prawdziwy potop: w ciągu kilku sekund świat stał się szary, ponury i obcy. W świetle reflektorów z trudem przenikających tę ruchliwą wodną zasłonę widziałem skulone sylwetki autostopowiczów brnących poboczem drogi. Podążaliśmy w jednym kierunku: na ogólnopolski zlot autostopowiczów i kierowców do Sępólna Krajeńskiego w województwie bydgoskim.

Foto: Archiwum

I tak było przez trzysta kilometrów: deszcz na przemian z krótkimi rozpogodzeniami.

Zlot wypadł w niezbyt sprzyjającym czasie: w Bydgoszczy nazajutrz odbywała się VI Ogólnopolska Spartakiada Młodzieży, a w dniu, w którym rozpoczynały się uroczystości w Sępólnie, przypadła akurat wolna sobota. To, a także nie ustający deszcz zaważyły na całości dobrze pomyślanej imprezy. W wolne soboty transport samochodowy zmniejsza się do minimum, ciężarówki stoją w swoich bazach. Właściciele prywatnych aut nie wykazują chęci do zatrzymywania się, jeśli nawet przy drodze stoi młoda, ładna dziewczyna. Zresztą sposób „na wabia" przeżył się definitywnie. Tak więc setki ludzi uginając się pod ciężarem plecaków szło na północ bez nadziei dotarcia do celu.

W samym Sępólnie Krajeńskim, pięknym miasteczku leżącym nad jeziorem Sępoleńskim, gotowało się jak w przysłowiowym kotle. Na stadionie rozbito dziesiątki namiotów, przygotowano łóżka polowe, ściągnięto orkiestrę dętą, zwieziono chrust na ogniska... Ale pierwszą osobą, jaką spotkałem, był dyrektor biura Społecznego Komitetu Autostopu **ANDRZEJ PIWOŃSKI**, który biegał od namiotu do namiotu, od grupy do grupy i spoglądając w niebo wołał, że jeśli to coś pomoże, to choć do kościoła nie chodzi, to jednak uklęknie na środku stadionu i będzie prosić niebiosa o odrobinę słońca. Potem niektórzy mieli za złe dyrektorowi, że nie pomodlił się publicznie, bo deszcz towarzyszył imprezie do końca.

Przysiadłem do dwójki zarośniętych młodzieńców, żujących suche bułki. Ich kapelusze były upstrzone herbami miast, plecaki wytarte o swojskie rowy, bluzy wypalone przez minione lipce i sierpnie.

— Skąd jesteście, panowie? — pytam.

— Z Polski — odpowiada jeden. — **Autostopowicz jest obywatelem, a nie mieszkańcem.**

— Rozumiem. Więc skąd bogi prowadzą?

— **Ze Śląska. Jechaliśmy tu dwa dni** — mówi drugi, Andrzej. — **Do Łodzi dotarliśmy przedwczoraj w nocy, a z Łodzi tu jechaliśmy półtora dnia.**

— Kierowcy nie zabierają?

— **Najczęściej pokazują przez szybę rękę zgiętą w łokciu i tyle ich się widzi.**

— Ale jakoś podróżujecie.

— **Owszem, trafi się czasem porządny facet, to weźmie.**

— Może pokutują wśród kierowców jakieś uprzedzenia?

— **E, tam** — mówi Marek. — **Legenda o złych autostopowiczach należy do przeszłości. Dziś nawet buty wycieramy zanim wsiądziemy do samochodu.**

— **Bywa, że facet się zatrzyma jakieś sto metrów od nas, poczeka aż podbiegniemy i dodaje gazu. A my przecież dajemy mu kupon na 25, 50, czy 80 kilometrów. To ma swoje znaczenie.**

— W jakim celu jeździcie? — pytam.

— **Teraz to właściwie już bez celu, siłą rozpędu. Przez parę lat autostopu poznaliśmy Polskę dość dokładnie, prawie każdą wiochę. Teraz przydałoby się wyskoczyć za granicę.**

— A można?

— **Czemu nie. Niektórzy autostopem przemierzyli całą Europę.**

— **Inni dotarli do Ameryki, a nawet do Australii.**

— Z czym przyjechaliście do Sępólna?

— **Mamy konkretne propozycje, bowiem zaczy na się mówić, że autostop się przeżył i umiera śmiercią naturalną.**

— A jest inaczej?

— **Oczywiście.**

20 kwietnia 1958 r. w tygodniku „Dookoła Świata" po raz pierwszy użyto hasła „Autostop". Było to wówczas dziecko miłości mające wielu ojców chrzestnych: ZG ZMS, ZG ZMW, GKKFiT, RN ZSP, Główną Kwaterę ZHP, ZG PTTK, ZZ Transportowców i Drogowców, PZMot., Ministerstwo Kultury i Sztuki, Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Automobilklub Polski, Polskie Radio,

Dalszy ciąg na str. 3

CIASNY AUTOBUS

Rozmowa z zastępcą dyrektora Zarządu Przedsiębiorstwa PKS w Łodzi — LECHEM KUKUŁKĄ

— PKS jest powszechną formą komunikacji w kraju i każdy z nas podróżował autobusami Państwowej Komunikacji Samochodowej. Na ogół nie mamy najlepszych wspomnień z tych podróży. Gdyby mi przyszło na przykład jechać z Łodzi autobusem, gdzieś na kraniec Polski i tam się jeszcze przesiadać, to miałabym poważne obawy przed taką podróżą. Przede wszystkim, czy znajdę właściwe i szybkie połączenie z autobusem dalekobieżnym jadącym z Łodzi?

— Na ogół tak. Przy budowie rozkładu jazdy PKS przyjmuje się dwie zasady. Pierwsza, że czas połączenia między poszczególnymi autobusami powinien być nie większy, niż pół godziny. I druga zasada, którą obowiązuje przy budowie rozkładu jazdy, to właśnie skomunikowanie autobusów dalekobieżnych z regionalnymi.

Jeśli jedzie pani do Kołobrzegu, to po przyjeździe na miejsce ma pani połączenia z autobusami jadącymi na zachód lub wschód od Kołobrzegu wzdłuż wybrzeża morskiego. Tylko, że my pani w Łodzi nie możemy zagwarantować, czy po przyjeździe na miejsce, będzie pani mogła pojechać dalej.

— A czy PKS gwarantuje mi szybkie i sprawne połączenie autobusu z pociągiem? Bo przecież pociągi nie dochodzą do każdej miejscowości w Polsce, a autobusy prawie do każdej. Podróżni są więc zmuszeni korzystać zarówno z usług PKP, jak i PKS, jeśli chcą się dostać do celu swej podróży.

— Aktualny rozkład jazdy jest, jakby pierwszym etapem takiego właśnie ściślejszego skomunikowania większej ilości pociągów dalekobieżnych i ekspresów z kursami autobusów PKS.

— Dlaczego dopiero teraz?

— To nie znaczy, że przedtem nie było takiego skomunikowania między pociągami PKP i autobusami PKS. Tylko, że w ostatnich latach zwiększyła się ilość pociągów ekspresowych i PKS musi się do tej nowej sytuacji dostosować.

PKS jest powołany do organizacji komunikacji regionalnej. To jest nasze naczelne zadanie. W naszym okręgu komunikacyjnym, który obsługuje PKS, mamy 1 przystanek autobusowy na 2,1 km. Tu od razu zastrzegam, że trzeba wziąć poprawkę na różne pory roku. Wiele dróg jest niedostępnych w zimie i wiele dróg jest w złym stanie po zimie. Tak, że w konsekwencji ten wskaźnik będzie nieco inny.

Skoro jesteśmy powołani do załatwiania komunikacji podmiejskiej, regionalnej, to wszystkie inne nasze zadania są siłą rzeczy spychane na plan dalszy. I tak na przykład do połowy lat 80-tych stan komunikacji dalekobieżnej PKS pozostanie na obecnym poziomie.

— PKS nie może jednak nie widzieć pewnych uwarunkowań obiektywnych, choćby tego, że PKP ma poważne trudności, że warunki podróżowania na PKP znacznie się pogorszyły i z tego powodu PKS będzie miał więcej pasażerów do przewiezienia. Czy to nie wpłynie na zmianę założeń?

— Nie przypuszczam. Przede wszystkim dlatego, że produkcja autobusów jest taka, a nie inna. A poza tym nie powiedziałem jeszcze o innym podstawowym zadaniu PKS — dowożeniu ludzi do pracy i dzieci do szkoły. W naszym rejonie przeszło 60 proc. ludzi korzystających z usług PKS, to są właśnie ludzie dojeżdżający do pracy i młodzież do szkoły.

— Pozostaje jednak jeszcze około 40 procent pasażerów, którym też się coś należy. Sam Pan powiedział, że PKS dowiezie mnie do — powiedzmy — Kołobrzegu i to jeśli przedtem dużo wcześniej postoję w kolejce i kupię sobie bilet. A co dalej?

— Obowiązek rozwożenia ludzi do pracy i młodzieży do szkoły powoduje, że PKS zaczyna pracę bardzo wcześnie. Ograniczona jest też pojemność autobusów. Brakuje kierowców. Z tych powodów i ludzie,

Dalszy ciąg na str. 4

KONRAD TUROWSKI

TRZY TYSIĄCE MIL PO WSCHODNIM WYBRZEŻU

Lew Brown, wydawca „Evening Independent" ukazującego się na Florydzie, obiecał w 1910 roku rozdawać gazetę darmo ilekroć zdarzy się pochmurna pogoda. 9 marca 1979 roku cały nakład pisma rozdano po raz 263. W ciągu 67 lat, na 24.120 dni, przypadły tylko 263 dni pochmurne. Przydomek „Sunshine State" dla najbardziej wysuniętego na południe półwyspu należącego do USA wydaje się więc całkowicie uzasadniony. Najniższą temperaturę notuje się tu w grudniu i styczniu, w stolicy „Słonecznego Stanu" — Tallahassee: jedenaście stopni ciepła W czerwcu, lipcu i sierpniu za to, termometry w West Palm Beach, Tampa Orlando, Miami, Lakeland, Key West, Jacksonville, Fort Myers, Daytona Beach i innych miejscowościach, gdzie zaludniają się plaże z piaskiem białym jak śnieg, przekraczają 90 stopni w skali Fahrenheita...

„Mieliśmy szczęście z tą Florydą" — napisała mi siostra nawiązując do obecnych trudności benzynowych w USA. Gdy wyjeżdżaliśmy z Nowego Jorku zapewne żaden obywatel amerykański nie spodziewał się, że nadciągający kryzys energetyczny szybko przybierze aż tak ostre formy. „Gazolinowy" dramat rozpoczął się w Kalifornii, skąd nadeszła pierwsza tragiczna wiadomość o zastrzeleniu właściciela stacji benzynowej, który odmówił nalania do samochodowego baku więcej niż 5 galonów paliwa. Równie surowe restrykcje oszczędnościowe w całych Stanach Zjednoczonych wprowadzono dopiero kilka tygodni później. Zdążyliśmy wrócić dosłownie w ostatniej chwili nim na stacjach benzynowych zaczęły się pojawiać złowieszcze napisy: „No gas"

Dalszy ciąg na str. 6

PRZED 40 ROCZNICĄ WRZEŚNIA

APEL DO MIESZKAŃCÓW MIEJSKIEGO WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

Zbliża się 40 rocznica wybuchu II wojny światowej. Wojny, która w dziejach Polski stanowiła najtragiczniejsze wydarzenie i która w narodowej pamięci pozostawiła bolesny ślad.

Zwracamy się z apelem do społecznych opiekunów miejsc pamięci narodowej, do instytucji, zakładów pracy, do szkół, organizacji i wszystkich mieszkańców naszego województwa o otoczenie opieką miejsc pamięci, gdzie walczyli i ginęli żołnierze, partyzanci bohaterowie II wojny światowej.

Apelujemy, by przygotowania do obchodów 40 rocznicy Września objęły wszystkie miejsca walki i męczeństwa.

Łódzki Komitet Frontu Jedności Narodu

Obywatelski Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

„POMÓC CZŁOWIEKOWI"

Nawiązując do zamieszczonego w numerze 25 Tygodnika „Odgłosy" z dnia 24 czerwca 1979 r. artykułu redaktora Marcina Rodaka pt. „Pomóc człowiekowi" — Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Widzew po przeprowadzeniu wnikliwego postępowania wyjaśniającego uprzejmie informuje:

— Wizyta domowa do dziecka Ob. Łukasza „R" zgłoszona została do Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi o godz. 20.51, a o godz. 20.52 przekazana do Oddziału Pomocy Doraźnej Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Widzew. Powód wezwania: TEMPERATURA.

O godz. 21.40 nastąpił wyjazd zespołu pediatrycznego, który przybył na miejsce o godz. 21.50. Po zbadaniu dziecka lekarz stwierdził ANGINĘ.

— W momencie przekazania wizyty do Oddziału Pomocy Doraźnej ZOZ-Widzew, rzeczywiście w bazie znajdował się lekarz pediatra, jednakże bez karetki, która w tym czasie wykorzystywana była do wykonywania zabiegów przez pielęgniarkę w domu chorego (antybiotyki) na terenie dzielnicy Widzew i Śródmieście.

— Lekarka nie skorzystała z propozycji podwiezienia jej przez Ojca dziecka na wizytę domową, ponieważ radiotelefonem polecono pielęgniarce przerwać zabiegi i wracać do bazy, a powód wezwania na wizytę nie stwarzał sytuacji zagrożenia życia, co uzasadniałoby wyjazd prywatnym samochodem — wieczorem z osobą nieznajomą.

— W Oddziale Pomocy Doraźnej pracują zespoły ogólnochorobowe i pediatryczne. Zespoły te w stanie zagrożenia życia lub wypadku wyjeżdżają bez względu na przeznaczenie. W pozostałych przypadkach wysyłane są do zachorowań zgodnie ze specjalizacją i posiadanym wyposażeniem. Stąd też karetka ogólnochorobowa która w międzyczasie przybyła. nie została wysłana do 1,5-rocznego dziecka.

— Odwiezienie „dwóch pań z kwiatami" było samowolnym podwiezieniem przez kierowcę na przystanek autobusowy przy ul. Szpitalnej portierki z Przychodni, która uległa wypadkowi skręcenia stopy wraz z drugą towarzyszącą jej pracownicą.

Reasumując:

— W postępowaniu personelu Oddziału Pomocy Doraźnej nie można w określonym przypadku stwierdzić rażącego i lekceważącego stosunku do wykonywanych przez siebie obowiązków. Natomiast obowiązkiem pracowników było — widząc emocjonalny stosunek Ob. Łukasza „R" — tak pokierować swoim postępowaniem, ażeby uniknąć występowania emocjonalnych spięć.

— Należało też bardziej energicznie i zdecydowanie wycofać karetkę z zabiegów celem przyspieszenia załatwienia nadanej wizyty domowej do dziecka Ob. Łukasza „R".

— Również wyjazd kierowcy karetką bez zgody dyspozytora był samowolą.

Całość sprawy została szeroko omówiona z kierownictwem i pracownikami Oddziału Pomocy Doraźnej — przy czym pracownikom winnym stwierdzonych niedociągnięć zwrócono ostrą uwagę.

Informując o powyższym, pragniemy serdecznie przeprosić Ob. Łukasza „R" za spotkaną przykrość i wynikłe kłopoty.

Lek. ADAM PABICH
dyrektor ZOZ Widzew

ANDRZEJ BOGUSZ

KIEDY SPORT RODZIŁ SIĘ W ŁODZI

Na przełomie wieków pojęcie sportu było niemal nieznane wśród łódzkich robotników. Nieliczne polskie stowarzyszenia sportowe, działające legalnie za zgodą rosyjskich gubernialnych władz piotrkowskich, skupiały członków wywodzących się przede wszystkim z kręgów mieszczańskich i wąskiej grupy inteligencji pochodzenia polskiego. Proletariat łódzki — zaangażowany w walce o prawa robotnicze i poprawę warunków bytowych — nie przejawiał większego zainteresowania sprawami sportu.

Po odzyskaniu niepodległości sytuacja uległa zmianie. Zaczęły powstawać kluby sportowe, wprowadzono wychowanie fizyczne do łódzkich szkół, ale w dalszym ciągu istniały trudności w rozpropagowaniu kultury fizycznej wśród młodzieży robotniczo-rzemieślniczej łódzkich zakładów przemysłowych. Sytuacja zmieniła się po uchwale Rady Ministrów z 10 listopada 1926 r., która stworzyła warunki prawne dla organizacji ośrodków wychowania fizycznego w dużych zakładach przemysłowych w kraju. Takie ośrodki powstały też w większych zakładach przemysłowych w Łodzi. Organizatorem ich był Okręgowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego przy Dowództwie Okręgu Korpusu IV.

W kwietniu 1927 r. **Dyrekcja Towarzystwa Akcyjnego „Ludwik Geyer"** przydzieliła nowo powstałemu ośrodkowi wychowania fizycznego plac fabryczny przy ulicy Piotrkowskiej 317. Został on wkrótce zniwelowany i przystosowany do prowadzenia ćwiczeń gimnastycznych, a następnie zamieniony na boisko piłkarskie oraz wyposażony w proste urządzenia dla lekkiej atletyki. Prace porządkowe przy urządzaniu boiska wykonała młodzież zatrudniona w firmie „L. Geyer", której przewodził **Roman Tadeusiewicz** — późniejszy wieloletni prezes fabrycznego klubu sportowego. Zajęcia wychowania fizycznego z młodzieżą robotniczą zakładów oraz bezrobotną młodzieżą zamieszkującą rejon Górnego Rynku — prowadzili instruktorzy wojskowi.

Zespoły sportowe ośrodka zakładów „L. Geyer" wkrótce rozpoczęły rozgrywać towarzyskie spotkania z bratnimi zespołami innych dużych zakładów przemysłowych w Łodzi. Popularyzacja i rozwój sportu wśród załogi mogły być pomyślnie realizowane dzięki grupie młodych zapaleńców — pracowników administracji zakładów, którzy już na przełomie lat 1922—1923 kładli podwaliny pod późniejszy fabryczny klub sportowy. Grywali oni w czasie wolnym od pracy w piłkę nożną na placu fabrycznym, który własnymi siłami zniwelowali i wyposażyli w bramki. Byli to: bracia **Roman, Jan, Tadeusz i Stanisław Tadeusiewiczowie, Juliusz Wende, Mieczysław Ostrowski, Stanisław Nowicki, Henryk Borsiak, Władysław Glonek, Michał Konstantjew, Czerwiński, Marcinkowski** i inni.

W pierwszych miesiącach 1930 roku ośrodki wychowania fizycznego przemianowane zostały w fabryczne kluby sportowe. Zebranie organizacyjne Koła Sportowo-Oświatowego fabryki „L. Geyer" odbyło się 8 stycznia 1930 roku. Wybrano pierwszy zarząd w składzie, którego prezesem honorowym został Gustaw Geyer a prezesem **Stefan Dekuczyński.** W klubie powstały sekcje: piłkarska, bokserska, lekkoatletyczna, gier sportowych, szermiercza, kolarska, motocyklowa, ciężkoatletyczna, tenisowa, ping-pongowa, a w późniejszym okresie szachowa i narciarska. Sekretariat klubu mieścił się przy ulicy Piotrkowskiej 282, natomiast lokal klubowy przy ulicy Piotrkowskiej 289.

Gustaw Geyer rozmiłowany był w sporcie, uprawiał boks i jeździectwo, rozumiał więc i dostrzegał korzyści wynikające ze sportu. Dzięki jego poparciu klub uzyskał w 1932 roku tereny pod budowę nowego boiska piłkarskiego przy ulicy Wólczańskiej oraz kortów tenisowych przy ulicy Piotrkowskiej 309 (311) oraz boisk do gier sportowych przy ulicy Czerwonej 8. Udostępnił swój prywatny park dla zawodników sekcji lekkoatletycznej na okres dwu lat, gdy sekcja nie posiadała warunków treningowych po likwidacji „starego boiska". Przychodził na zawody, mobilizował zawodników i działaczy do lepszej pracy.

Lekkoatleci KS „Geyer", nie posiadający zbyt dobrych obiektów treningowych, koncentrowali swą działalność sportową przede wszystkim na biegach długich. Największe osiągnięcia zanotowali w biegach sztafetowych „Kuriera Łódzkiego". Sztafety KS „Geyer" w latach 30-tych należały do czołowych w Łodzi. Najlepszymi biegaczami byli: **Marian Deka, Wacław Sakwa, Bronisław Gabinowski, Stanisław Trzciński, Stanisław Rutkowski, Henryk Gralewski, Rudziński.** Obok nich w sekcji działali: **Józef Szubert** — mistrz okręgu na 800 m w 1937 r., **Jerzy Hartman** — mistrz okręgu w skoku w dal, trójskoku i w kuli w latach 1937—1939. Treningami oraz sprawami organizacyjnymi sekcji zarządzał kierownik sekcji **Henryk Wincenty Kupiecki.** Był on robotnikiem na przędzalni odpadkowej od kwietnia 1927 roku, a ponadto otrzymał w 1934 r. dodatkową pracę kierownika sali teatralnej fabryki. Dużą pomocą w sprawach organizacyjnych i wychowawczych sekcji wykazał się również zastępca kierownika **Mieczysław Piasecki.**

Sekcja bokserska powstała w połowie 1929 roku. Trenerem był **Tadeusz Kwiatkowski,** a następnie **Józef Meyer** — tkacz w fabryce „L. Geyer", posiadający jednocześnie uprawnienia instruktora boksu. Treningi oraz zawody mniejszej rangi odbywały się w fabrycznej sali widowiskowo-teatralnej, natomiast poważniejsze zawody z drużynami, pozałódzkimi lub międzynarodowe odbywały się w wynajmowanej sali Filharmonii Miejskiej.

Wybijającymi się zawodnikami sekcji bokserskiej byli: **Adam i Bolesław Wojciechowscy, Ernest Augustowicz, Zenon Gawin, Henryk Osielski, Stanisław Jaskóła** oraz mistrz Polski wagi średniej z 1938 r. — **Józef Pisarski.** W KS „Geyer" uczył się podstaw boksu **Stanisław Woźniakiewicz** — późniejszy czołowy zawodnik innego łódzkiego klubu fabrycznego „IKP" — wielokrotny mistrz Łodzi i mistrz Polski wagi lekkiej w latach 1936 i 1937.

Bokserzy KS „Geyer" zdobyli w okresie międzywojennym osiem tytułów mistrzów Łodzi, a **Józef Pisarski** w 1939 roku reprezentował barwy Polski na mistrzostwach Europy w Dublinie, gdzie wywalczył tytuł wicemistrza kontynentu. Drużynowe mistrzostwo Łodzi w boksie zespół KS „Geyer" zdobył dopiero w 1939 roku.

Drużyna piłki nożnej powstała w latach 1922—1923 i stała się podstawą dla późniejszego zespołu KS „Geyer". Pierwsze towarzyskie mecze rozegrano wiosną 1929 roku z drużynami: KP „Zjednoczenie", KS „Gentleman", Łódzkim Towarzystwem Sportowo-Gimnastycznym i Żydowskim Klubem Sportowym „Hakoah". Od 1930 roku zespół piłkarski brał udział w rozgrywkach klasy „C", grając w składzie: **Mirosław Bogusiak, Henryk Borsiak, Stanisław Grzanek, Maks Krawczyk, Longin Milczarek, Stanisław Nowicki, Tadeusz Rzmigała, Franciszek Szynkielewicz, Henryk Markiewicz, Winczewski.** Trenerem zespołu był **Leon Ferc.**

Klub Sportowy „Geyer" posiadał jeszcze drużyny koszykówki, siatkówki, sekcję szermierczą, tenisową, ciężkiej atletyki. Koszykarze grali przez dwa sezony w klasie „B" i dopiero w 1931 roku, po dwukrotnym zwycięstwie w finale nad drużyną Żydowskiego Klubu Sportowego „Makabi" awansowali do klasy „A". Ale ani koszykarze, ani siatkarze, ani siatkarki nie odgrywali większej roli wśród zespołów łódzkich lat trzydziestych. Podobnie większych sukcesów nie odnotowali szermierze ani tenisiści. W KS „Geyer" działały jeszcze sekcje: narciarska — była to pierwsza sekcja narciarska w Łodzi, kolarska i motocyklowa, ale miały one charakter rekreacyjny. Poza tym grano w ping-ponga.

Działalność „Ośrodka Wychowania Fizycznego" przy Zakładach „Ludwik Geyer", a następnie, od 1930 roku działalność Koła Sportowo-Oświatowego fabryki, przyczyniły się do popularyzacji zajęć wychowania fizycznego wśród robotników. Koło Sportowo-Oświatowe „Geyer" było członkiem „Rady Klubów Fabrycznych" okręgu łódzkiego. Rada corocznie organizowała „święta sportowe" klubów fabrycznych, początkowo na boisku KS „Wima", a w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej — w Spale, gdzie fundatorem głównej nagrody dla zwycięskiego klubu fabrycznego był prezydent Rzeczypospolitej. Zawodnicy KS „Geyer" odnieśli wiele sukcesów indywidualnych i zespołowych w tych zawodach.

Pod koniec lat trzydziestych prezesem Zarządu KS „Geyer" został jeden z pierwszych działaczy sportowych w fabryce, **Roman Tadeusiewicz.**

Poza Kołem Sportowo-Oświatowym fabryki „L. Geyer" działały przed wojną w Łodzi inne kluby fabryczne:

— Klub Sportowy przy Zakładach Sp. Akc. Wyrobów Bawełnianych **„I.K. Poznański",**

— Klub Pracowników Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych K. Scheiblera i L. Grohmanna — **KP „Zjednoczone",**

— Klub Sportowy „Widzewska Manufaktura" — **KS „Wima",**

— Klub Sportowy **„Gentleman"** — przy angielsko-szwedzko-polskim przemyśle gumowym „Gentleman".

Kluby fabryczne posiadające duże możliwości finansowe, już w początkowym okresie swej działalności rozpoczęły na szeroką skalę zakrojoną akcję ściągania do swych sekcji sportowych wyróżniających się zawodników z innych klubów, zwłaszcza z klubów robotniczych. Zawodnicy, którzy zadeklarowali chęć przejścia do klubu fabrycznego, mogli liczyć na pracę w fabryce. Dzięki temu, już w połowie lat trzydziestych fabryczne kluby sportowe stanowiły czołówkę sportową Łodzi, a w niektórych dyscyplinach dzierżyły prymat krajowy — np. bokserzy, koszykarki i hazenistki KS „IKP" czy ciężkoatleci KS Wima". Kluby fabryczne przyczyniły się do umocnienia się sportu w Łodzi. Po klubach tych zostały boiska, sale, urządzenia, które do dziś służą załogom łódzkich fabryk.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, witold SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMANSKI.

AUTOSTOP POWSZECHNY DAJ NAM DZISIAJ...

Dalszy ciąg ze str. 1

TV, wydawnictwa, kartograficzne, redakcje „Trybuny Ludu", „Sztandaru Młodych", „Dookoła Świata", „Motoru", „Światowida" i „Na Przełaj". Była to bowiem zorganizowana forma turystyki, mająca swoje konkretne założenia, swoje cele i formy. Z drugiej strony trzeba było raz na zawsze odciąć się od rozwydrzonych grup młodzieży ciągnących „gdzie oczy poniosą".

Autostop się przyjął. Dziś oblicza się skromnie, że po polskich drogach od tego czasu wędrowało około 715 tys. autostopowiczów (w tym ponad 6 tys. cudzoziemców z 28 krajów), w autostopie udział wzięło 72 tys. kierowców (w tym prawie tysiąc cudzoziemców). Łącznie autostopowicze przejechali 200 mln km (oczywiście, dane te nie są pełne, gdyż nie wszyscy kierowcy pobierają kupony od autostopowiczów). Ze skromnych opłat za książeczki autostopu (55 zł), co roku są przyznawane nagrody dla kierowców, gospodarzy i dla uczestników autostopu. Do dziś suma nagród przekroczyła 8 mln zł! Ze spontanicznego niegdyś ruchu, powstała poważna organizacja o wyraźnie zarysowanym profilu społeczno-politycznym. Więc przede wszystkim — krajoznawstwo i ochrona środowiska, a ponadto wiele akcji o znaczeniu ogólnopolskim: odbudowa Zamościa, czy choćby długofalowa akcja „Polska Naszych Dni", która w ciągu trzech lat przyniosła bogaty plon w postaci szkiców, opisów, nagrań magnetofonowych, zdjęć i rysunków, na których utrwalono różnorodne zjawiska zachodzące w życiu współczesnego Polaka i w życiu całego kraju. Zresztą każdy rok autostopu przebiegał pod innym hasłem. I tak np. kolejne lata, to „Panorama Pamięci Narodowej", „Krajobrazy Ojczyste", „Kraj Wielkiego Budownictwa". Obecny autostop ma hasło: „Człowiek naszych dni". W regulaminie czytamy:

„Temat „Człowiek Naszych Dni" obejmuje znikające oraz tworzące się współczesne formy działalności ludzkiej. Należy zatem ukazać np. tradycyjne, a jeszcze funkcjonujące sposoby wytwórstwa rzemieślniczego, rolnego i przemysłowego, zachowany folklor, zwyczaje, obrzędy i tradycyjny stół. Temat przewiduje wszechstronne ukazanie człowieka i jego działalności w pracy i w czasie wypoczynku, w gronie rodzinnym i najbliższym otoczeniu. Trzeba zwrócić uwagę na kształtujące się nowe formy życia, uroczystości, obyczaje w rodzinie, miejscu pracy, osiedlu itp.

Należy pokazać, jak kształtują się obecne wzorce osobowe, na przykładzie sylwetek ludzi cieszących się szczególnym uznaniem i szacunkiem swego środowiska.

Kończący kampanię temat powinien nakreślić portret współczesnego Polaka".

W strugach deszczu buszującego za oknami, w sali sępoleńskiego domu kultury zebrali się na swój sejmik autostopowicze z całej Polski, z najstarszym, 97-letnim doktorem **ALEKSANDREM MELECHEM** z Bydgoszczy, który jeszcze rok temu wychodził na drogi z książeczką autostopu w ręku. A obok zupełnie młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy po raz pierwszy wyruszyli na szlak. Sejmik miał przynieść odpowiedź nie tylko co do dalszego funkcjonowania autostopu w jego obecnej formie, lecz przede wszystkim oczekiwano na konkretne wnioski organizacyjne i programowe, które wydźwigną tę powszechną formę turystyki na jeszcze wyższy, społecznie użyteczny poziom. Niestety, uczestnicy ograniczyli się w zasadzie do wylewania swoich żalów na kierowców obojętnych na zatrzymujących ich autostopowiczów, a kierowcy z kolei mieli pretensje do autostopowiczów, że wyczekują na zakrętach dróg, na przystankach autobusowych lub w miejscach, gdzie nie wolno zatrzymać samochodu. Do nielicznych postulatów mających racjonalne przesłanki, należały m. in. takie: aby na trasach wylotowych z miast ustawić tablice z napisem **„Auto-Stop"**, obok których autostopowicze będą oczekiwać na jadące samochody; wprowadzić dla posiadaczy książeczek „Autostop" specjalne koszulki z nadrukiem; podróż po kraju winna odbywać się przede wszystkim pod hasłem **„Poznajemy budowle socjalizmu"**, oraz **„Odkrywamy, co nie jest odkryte"**; autostop winien być prawnie rozszerzony na kraje demokracji ludowej itp. Przybyli na sejmik przedstawiciele PTTK skrzętnie notowali te postulaty, przyrzekając, że przeprowadzą odpowiednie rozmowy w odpowiednich resortach i ministerstwach.

Z zainteresowaniem wysłuchałem kilku wystąpień, a m. in.: **WŁADYSŁAWA KLIMCZAKA** z Krakowa, który własnym fiatem przewiózł kilka tysięcy osób. Absolwent WSE i UJ, twórca słynnej wystawy „Venus" oraz Muzeum Historii Fotografii, W. Klimczak jest zapalonym automobilistą, fotografem i fotoreporterem prasy krakowskiej.

— Fiat, którym jeżdżę, jest moim 39 samochodem — mówi. — **Rocznie przejeżdżam około 40 tys. kilometrów. Nigdy mi się nie zdarzyło, abym się nie zatrzymał, jeśli ktoś daje mi znak, że chce się zabrać.**

— Od kiedy pan wozi autostopowiczów?

— **Sprawa ma głębsze podłoże. Pochodzę z Solca Kujawskiego i w 1939 r. uciekaliśmy konnym wozem do Mielca. Mój ojczym zabierał po drodze każdego, kto o to prosił. Była to dla mnie największa lekcja wychowawcza: nikomu nie odmawiać pomocy.**

— Wożenie przygodnych pasażerów bywa nieraz krępujące.

— **To zależy od naszego stosunku do zabieranego człowieka. O autostopowiczach krążyła, a może jeszcze gdzieś pokutuje, zła opinia. Nie wiem skąd to się bierze, ale mnie nie zdarzyło się, aby zabrany autostopowicz był podpity lub, żeby palił papierosy. Natomiast, gdy zepsuł mi się samochód, dwaj autostopowicze z Politechniki Gliwickiej przez dwa dni pomagali mi usunąć uszkodzenie.**

— O czym pan z nimi rozmawia w czasie jazdy?

— **To jest dobre pytanie. Z rozmów z zabieranymi z drogi ludźmi wynika jedno: noszą oni w sobie ogromny ładunek patriotyzmu i miłości do własnej ziemi. To brzmi jak slogan, ale tak jest naprawdę.**

— Czyżby dzisiejszy autostop osiągnął poziom tak idealny, że niczego nie można w nim zmienić, ani poprawić?

— **Niestety, autostopowicze nie tworzą określonej społeczności, nie czują swojej wspólnoty. Ot, weźmy chociaż wczorajsze ognisko: nasza młodzież nie potrafi niczego zaśpiewać! Przecież to straszne, że oprócz zwrotki „Szła dziewczka do laseczka", nikt niczego nie umie. Sądzę więc, że należałoby tej ogromnej masie nadać wreszcie określony kierunek, zorganizować ją „wewnętrznie". Choć, wynika to z moich obserwacji, ilość autostopowiczów maleje z roku na rok. Na trasie Kraków — Sępólno nie spotkałem ani jednego.**

O malejącej ilości podróżujących po Polsce z książeczką autostopu mówili na sejmiku także inni: **MAREK SZYMAŃSKI**, student III roku AWF w Poznaniu, **LESZEK SOBOCIŃSKI** także z Poznania, **JÓZEF GRUTKOWSKI** z Gdańska, **JERZY KOWALSKI**, kierowca z Wejherowa. Były także głosy tych starszych, którzy przemierzyli autostopem parę kontynentów. Legendarny już dr **ALEKSANDER MELECH**, współzałożyciel autostopu, powiedział, że tak jak dziecko trzeba uczyć chodzić, tak młodzież trzeba uczyć kultury.

— **„Tak wy, że sami się starajcie** — mówił ze wschodnim akcentem — **żeby podkreślić, że wy jesteście kulturalni. Toż samo tyczy się kierowców. Bez kultury ogólnej, nie ma kultury na drogach.**

Ciekawie mówiła 71-letnia emerytowana nauczycielka z Warszawy **WALERIA SOKOŁOWSKA.** Porównując młodzież z krajów zachodnich (właśnie powróciła z podróży po Anglii) z młodzieżą polską, stwierdziła, że porównanie wypada na korzyść tej ostatniej.

Tak więc sejmik w Sępólnie Krajeńskim nie dał ostatecznej odpowiedzi na pytanie, dlaczego maleje liczba autostopowiczów, choć przez 20 minionych lat nic się nie zmieniło w podstawowych zasadach organizacyjnych autostopu. Sądzę, że ostatnia część powyższego zdania jest tą odpowiedzią, której tak usilnie szukano w czasie rozmów sejmikowych. Autostop wymaga odnowy. Sądzę, że tą oczywista prawda przyspieszy jedynie proces upowszechnienia turystyki autostopem na szerszą skalę, tym bardziej, że coraz liczniej odwiedzają nasz kraj cudzoziemcy, dla których taka forma podróżowania jest niemałą atrakcją. Nie tak dawno odwiedziły Polską Agencję Prasową delegacje studentów amerykańskich z prośbą o udostępnienie doświadczeń polskiego autostopu, gdyż zamierzają podobny zorganizować w USA. Tak więc „polski autostop" zyskał dobrą markę na świecie, dowodem czego są autostopowicze z Ugandy, Japonii, Australii, czy Ameryki Łacińskiej nie mówiąc o przedstawicielach wszystkich krajów europejskich. Można byłoby pokusić się o stwierdzenie, że autostop jest polską specjalnością, bowiem nawet Międzynarodowa Organizacja Turystyczna (AIT) zaczyna propagować nie tylko formy, ale i założenia tego powszechnego wypoczynku, podkreślając zasługi Polski na tym polu. U nas w kraju autostop doczekał się trzech prac magisterskich i jednego doktoratu. Tak więc cokolwiek by nie sądzić o samej idei autostopu, nie sposób jednak pominąć milczeniem faktu, że takowy istnieje, i że co roku parę dziesiątków tysięcy ludzi wyrusza na wędrowne szlaki.

Wśród uczestników sejmiku była dwudziestoletnia **RENATA BIAŁOBRZESKA** z Mierzyna. Wybrała się po raz pierwszy. Wędruje sama.

— Czy nie ma w tym ryzyka? — pytam.

— **Wierzę w ludzi. W czasie mojej pierwszej wędrówki na trasie Poznań — Tarnów uprzejmy kierowca-taksówkarz z Łodzi nie tylko mnie przywiózł do Łodzi, ale dotąd woził, aż znalazłam miejsce w hotelu. Nazajutrz przyjechał po mnie i wywiózł na drogę prowadzącą do Tarnowa.**

— Nie miała pani innych, bardziej nieprzyjemnych doświadczeń?

— **Jedyny raz, na trasie Częstochowa — Piotrków. Właściciel fiata okazał się nie być gentlemenem, ale jakoś sobie poradziłem.**

— Był natarczywy?

— **Gorzej.**

— Co zdążyła pani zobaczyć w ciągu jednego miesiąca podróżowania?

— **Dużo i gdyby nie autostop, pewnie nigdy by mi się to nie udało. A więc cały Górny Śląsk, Bielsko-Białą i okolicę, Kraków, Łódź, Warszawę i całe województwo stołeczne, Wodzisław Śląski, województwo pilskie. A wszystko to raptem za niecałe 4 tys. złotych.**

— I co dalej?

— **Jesienią egzaminy na Uniwersytet Ludowy w Wierzchosławicach, kierunek k.o. ze specjalnością tańca. A latem — ponownie wyjdę na trasę.**

Po tej rozmowie podszedł do mnie jeden z brodaczy, który z niejednego pieca autostopowego jadł chleb i powiedział:

— **Ładna, ale jeszcze głupia. Jak ją zerżnie na trasie paru kierowców, to odechce się jej samotnych podróży. Nawet my, mężczyźni, wędrujemy zazwyczaj parami lub po trzech. Autostop jest piękny, ale wybierając się w drogę trzeba dobrze się namyślić.**

Niech to ostatnie zdanie posłuży za pointę powyższych rozważań na temat autostopu.

EUGENIUSZ IWANICKI

NIE TYLKO HISTORIA

KRÓL JAN III W LITERATURZE

Rzecz to zaiste fascynująca: obszerna monografia, poświęcona obrazowi zwycięzcy spod Wiednia w literaturach narodów europejskich. Erudycja, ukazana w tej pracy przez jej autora, jest doprawdy porażająca. Profesor Jerzy Śliziński porusza się bowiem z pełną swobodą nie tylko po piśmiennictwie polskim oraz literaturach innych narodów słowiańskich: czeskiej, słowackiej, serbołużyckiej, piśmiennictwie narodów Jugosławii i literaturze ukraińskiej. Wyzyskał w swej książce przebogaty materiał, zebrany również z innych literatur: niemieckiej, włoskiej, hiszpańskiej, portugalskiej, francuskiej, angielskiej, a nawet amerykańskiej. Nie zrezygnował z wkroczenia na pole piśmiennictwa węgierskiego, rumuńskiego, greckiego i tureckiego. Czy wiele można jeszcze wskazać jakich innych literatur, w których odnaleźć by można utwory bądź wzmianki, dotyczące naszego króla Jana?

Monografia Jerzego Ślizińskiego opatrzona tytułem: **„Jan III Sobieski w literaturze narodów Europy"** ukazała się nakładem Wydawnictwa MON (1979) w pięknej, nie tylko jak na dzisiejsze trudne dla edytorskich ambicji czasy, szacie wydawniczej. Pracę tę poprzedził krótką przedmową wybitny znawca dziejów polskiej wojskowości profesor Jan Wimmer, który w zwięzłym wykładzie przedstawił swój pogląd na znaczenie odsieczy wiedeńskiej, która rozsławiła imię polskiego monarchy w całym ówczesnym świecie. Decyzję przyjścia z pomocą Austrii — tylekroć naganianą w naszej dawniejszej historiografii, choćby ze względu na to, żeśmy się przyczynili do uratowania państwa, które w przyszłości stanie się jednym z naszych zaborców — uczony ocenia niedwuznacznie jako słuszną. „Klęska Austrii — powiada J. Wimmer — oznaczała rozciągnięcie panowania tureckiego wzdłuż całej już południowej granicy Rzeczypospolitej i zagrożenie nie tylko jej południowo-wschodnich obszarów, lecz również Krakowa". Jan III Sobieski widział jeszcze w wyprawie wiedeńskiej i inne korzyści. Inna sprawa, czy zdołano je wówczas osiągnąć, czy potrafiono maksymalnie zdyskontować na korzyść Rzeczypospolitej owoce odniesionego zwycięstwa. Co do tej sprawy, zdania historyków będą jeszcze przez długi czas bardzo rozbieżne.

Zwycięstwo wiedeńskie odbiło się rzeczywiście olbrzymim echem we współczesnym świecie: literackie tego świadectwa zebrał z ogromnym nakładem pracy J. Śliziński, a przecież nie są one jedynymi źródłami, świadczącymi o rozgłosie wiktorii polskiego wodza. W miarę jednak, jak zmieniała się sytuacja polityczna, zmieniała się również — zwłaszcza w piśmiennictwie polskim — optyka spojrzenia na zwycięstwo z września 1683 r. Jak podkreśla J. Wimmer „dla Polaków stało się ono ostatnim wielkim zwycięstwem odniesionym przez ich oręż, tradycją niesłychanie podnoszącą na duchu w okresie upadku znaczenia Polski w XVIII wieku, w czasach zaś powstań narodowych Sobieski wraz z ich bohaterami wszedł do panteonu pamięci narodowej, krzepiąc serca rodaków w podzielonym kraju". Również i dla sympatyzujących z naszymi narodowymi aspiracjami obcych środowisk Sobieski stał się symbolem, przemawiającym za nieprzedawnionym prawem narodu polskiego do własnej niepodległości.

Historyk patrzy na historyczno-literacką materię nieco z innego punktu widzenia, aniżeli badacz literatury, a przynajmniej czyni tak najczęściej. Ceniąc niezmiernie wysoko wysiłek badawczy, włożony przez J. Ślizińskiego w opracowanie tej nader interesującej książki, podkreślając ogromną wartość zebranego przez uczonego materiału, jako historyk zajmującej się dziejami polskiej myśli historycznej nie mogę się powstrzymać przed sformułowaniem pod adresem autora pewnych istotnych, w moim przekonaniu, zarzutów. Dotyczą one sposobu ujęcia problematyki. Jest on nader tradycyjny: autor sumiennie referuje kolejne teksty kolejnych autorów, zwracając uwagę na ich zawartość i tak dalej. Uczony powstrzymał się tu przed wykorzystaniem jakiegokolwiek bardziej nowoczesnego aparatu pojęciowego, wykształconego w badaniach podobnego rodzaju czy to na obszarze historiografii, czy współczesnego literaturoznawstwa. Ostatecznie badanie literackich obrazów wybitnych postaci historycznych nie jest już w naszych czasach czymś szczególnie nowym, a również i w naszej humanistyce mamy interesujące przykłady studiów, poświęconych dziejom różnych kultów i legend politycznych. Nie trzeba więc sięgać daleko, aby dostrzec, że posiadamy dziś już wcale subtelne narzędzia i kategorie badawcze, pozwalające na lepsze zorganizowanie materiału, którym dysponujemy, ułatwiające wydobycie zeń maksimum treści, znacznie efektywniejsze — wybacz Czytelniku to słowo, zaczerpnięte z żargonu ekonomicznej publicystyki — od tradycyjnych metod opisowych. Autorską narrację można by więc... bardziej skonceptualizować, a wówczas otrzymalibyśmy z pewnością znacznie bogatszy wachlarz wniosków, niż te, które zawarł w zakończeniu swej książki jej autor. Boć stwierdzenia w rodzaju, że w „różnych okresach różnie patrzano na króla polskiego", że „z czasem" doszło do powstania swoistego mitu o Sobieskim — jak to czytamy na zakończenie monografii — to jak na rezultat analizy przebogatego, zaprezentowanego tu kompetentnie materiału, jest rzeczywiście bardzo mało. Dlatego też monografia sprawia wrażenie niedosytu: narzędzia badawcze zawiodły autora, nawet tak znakomicie operującego przebogatym, wielojęzycznym tworzywem literackim.

ANDRZEJ F. GRABSKI

NA STAREJ DRODZE

Bardzo chętnie wracamy do wspomnień. Zwłaszcza do tych, które korespondują z dniem dzisiejszym. Nieraz nawet drobne wydarzenia nabierają po latach znaczenia symbolu. Nie zapomnę mojej pierwszej wyprawy reporterskiej w maju 1945 roku. Redaktor naczelny tygodnika „Wieś" kazał mi jechać na Mazury. Zaopatrzył mnie w delegację redakcyjną, a ponadto w pismo od władz wojskowych. Takie dokumenty ułatwiały pracę. Otwierały drzwi w instytucjach i urzędach. Z wielką pieczołowitością przechowuję owe pożółkłe już dzisiaj pisemka. Wywołują nie tylko wzruszenie. Mówią o formach współpracy redakcji z różnymi instytucjami i organizacjami. Pismo bez tych kontaktów byłoby martwe. Redakcję stanowiła nie tylko mała grupa literatów i dziennikarzy. Przy tygodniku „Wieś" skupieni byli pisarze i działacze wiejscy. Na zjeździe w Rytwianach, który odbył się w 1947 roku, zgromadziło się ich ponad stu. Oni wszyscy wpływali na politykę pisma. Wszyscy ją współredagowali. W owych latach redakcja pisma była instytucją, która nie ograniczała się do wydawania pisma, ale także organizowała życie kulturalne w terenie, na wsi, w małym mieście. Dzisiaj to tak ładnie nazywamy: sojusz świata pracy z kulturą. Mówimy o mecenacie zakładów pracy nad twórcami przejawiającym się między innymi w postaci stypendiów i konkursów. Ten sojusz rodził się w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu. Przybierał różne formy.

Redaktor „Wsi" formułował zadania pisma także w związku z listami, jakie napływały do redakcji. W jednym z listów, który Jan Aleksander Król zamieścił w swojej książce „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej" autorka, dziewczyna ze wsi, wyznaje, że chciałaby zostać poetką. Wiersze zaczęła pisać w obozie koncentracyjnym.

Król odpowiada, że nie można zostawić autorki listu bez odpowiedzi. Zwraca uwagę, że autorka świadomie kieruje swoje zmartwienie do chłopskiej instytucji mającej specjalistów. Kiedy inni „upraszali i zabiegali o pomoc", ona „oczekuje konkretnej odpowiedzi. Uważa, że ma prawo do stawiania żądań, a my mamy te żądania spełnić". Ta dziewczyna ze wsi, której wojna nie oszczędziła, ma (jak pisze Król) świadomość odpowiedzialności społecznej z tytułu swego powołania i wie, że to powołanie trzeba poddać rygorom rzemiosła i stałego zawodu. Dlatego czeka na wstępną ocenę. W tej służbie informacyjnej i poradnikowej, podnoszeniu kultury literackiej, nie tylko poprzez wydawanie pisma, w którym znalazłyby się dobre wzorce literackie, ale i działalność organizacyjna, widział redaktor „Wsi" i autor „Drogowskazów" zadanie pisma.

Swojego czasu ta sama „Wieś" rozpisała konkurs na temat. „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?". Wśród autorów odpowiedzi dużo znalazło się działaczy ludowych. Byli to zarówno starzy wiciarze, jak i młodzi pracujący w Związku Samopomocy Chłopskiej. Autorka jednej z wypowiedzi pisała: „Mając szesnaście lat zapisałam się jako członkini do Koła Młodzieży w naszej wsi. Chociaż trudna to była dla mnie praca, bo mieszkałam daleko poza wsią, dwa kilometry drogi. Mimo to szłam zawsze pilnie, choćby i po ciężkiej pracy na każdy odczyt, zebranie, próbę teatralną. W parę miesięcy zostałam już wybrana do zarządu i tak z kolei przez cztery lata przeszłam różne funkcje, a to sekretarka, skarbniczka, wiceprezeska, bibliotekarka. Brałam też czynny udział w kursach, zjazdach, wycieczkach..." Autorka odbyła kurs Uniwersytetu Ludowego w Szycach mimo sprzeciwu rodziców i braku funduszów pieniężnych. Po powrocie z Szyc, jak pisze, jej życie oprócz szarej i twardej pracy na kawałek chleba było wypełnione nieustanną pracą społeczną. Zorganizowała we wsi rodzinnej i sąsiednich koła wiciowe, urządzała kursy oświatowe, wspólne czytanie książek. Zorganizowała także bibliotekę liczącą dwieście tomów. Kierowała potem dziewczęta i chłopców do szkół rolniczych, Uniwersytetów Ludowych.

Warunki życia młodzieży chłopskiej przed wojną, znane z lektury „Młodego pokolenia chłopów" znalazły i w ankietach tego konkursu swoje gorzkie odbicie. Zdarzały się wypadki, że uczeń, syn chłopa, nie mógł sobie pozwolić na opłatę stancji w mieście i dlatego codziennie chodził pieszo do szkoły, odległej od wsi 14 kilometrów. „Dopiero gdy już niepodobna było chodzić podczas mrozów i zadymek (czytamy w tej wypowiedzi), a i nogi odmawiały posłuszeństwa, zebrałem kilku kolegów o podobnych warunkach materialnych jak i ja, i wspólnie wynajęliśmy małe zimne mieszkanie. W tym jednak wypadku trudno jest się zdobyć na kilka zeszytów, a o podręcznikach nie ma mowy". Autor wypowiedzi nie mógł kształcić się dalej, ponieważ rodzice byli biedni. Inna autorka wyznaje: „Widząc starsze, uczące się rodzeństwo i ja gwałtem pchałam się do nauki tak, że mając pięć i pół roku umiałam doskonale czytać i pisać, czego nauczyłam się sama w domu z niewielką pomocą matki... Błagałam siostrę i rodziców, by mi pozwolono pójść do gimnazjum lub seminarium nauczycielskiego. Ale ani siostra, ani rodzice słyszeć o tym nie chcieli.. musiałam zostać na wsi i z rodzicami pracować na roli".

Trzydzieści pięć lat upływa, odkąd zaczęły się ukazywać pierwsze pisma w Polsce Ludowej, a wśród nich i to, o którym wspominam. Warto zajrzeć do tamtych starych egzemplarzy, aby zobaczyć świat, w jakim żyliśmy, i ludzi, którzy wtedy pracowali. Tym wyraźniej można zobaczyć drogę, która jest za nami.

TADEUSZ PAPIER

NASZA ROZMOWA

z zastępcą dyrektora Zarządu Przedsiębiorstwa PKS w Łodzi — LECHEM KUKUŁKĄ

CIASNY AUTO-BUS

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

i maszyny pracują znacznie więcej, niż określają to odpowiednie normy.

Rytm pracy PKS określony jest przez rytm pracy innych dziedzin gospodarki. Właściwie szczyt pracy PKS kończy się około godziny 18. Latem w rejonach rekreacyjnych ten szczyt się przedłuża do późniejszych godzin wieczornych. I to są powody, dla których PKS nie może gwarantować, że jak pani dojedzie do Kołobrzegu, to pojedzie pani zaraz najbliższym autobusem dalej.

Proszę jednak nie myśleć, że my uważamy taką sytuację za normalną. Nic podobnego. Przedsiębiorstwa PKS z centralnych rejonów pomagają innym, bardziej obciążonym latem. My na przykład oddelegowaliśmy do województwa gdańskiego 3 autobusy z przyczepami. Mogliśmy zrobić tylko tyle.

— Jeżeli PKS nie może mi zagwarantować, że kiedy dojadę już do tego przysłowiowego Kołobrzegu, to zdołam tam dostać się na najbliższy autobus do którejś z miejscowości położonych na wschód lub na zachód od Kołobrzegu, to może mógłby mi zagwarantować kupno biletu nie tylko na jeden kurs — z Łodzi do Kołobrzegu, ale i na dalsze.

— Ludzie podróżują do różnych miejscowości. Wymaga to nieraz kilku przesiadek. Gdybyśmy tu w Łodzi sprzedawali bilety na całą trasę, to musielibyśmy porozumieć się z poszczególnymi kasami PKS na całej trasie i tam musiano by odnotować kolejno wszelkie bilety na kolejne autobusy.

— Czy to jest niemożliwe?

— Teoretycznie jest to możliwe. Potrzeba do tego sprawnej łączności telexowej. Ta łączność znacznie się poprawia, ale jeszcze nie jest taka, aby możliwe były podobne operacje z biletami. Jeszcze nie teraz.

Proszę jednak nie sądzić, że nie szukamy rozwiązań, na jakie nas w tej chwili stać. Każdego dnia odjeżdża z Łodzi 650 autobusów. Bilety można kupować w przedsprzedaży i tuż przed kursem. Często na niektóre kursy bilety są już wcześniej wysprzedane. Chcielibyśmy dostarczyć ludziom rzetelnej informacji bieżącej, na jaki kurs i na jaki dzień są jeszcze wolne miejsca, a na jaki już nie ma. Tylko, jak to zrobić w wypadku 650 kursów? Szukamy takiego rozwiązania chociaż dla części kursów, bo o wszystkich 650 nie uda się nam poinformować jednocześnie. Byłoby to nieczytelne.

— Pan mówi o informacji bieżącej. Czasem trudno jest uzyskać informację połączeń PKS w odległych rejonach kraju.

— W zasadzie każdy informator ma dostateczną ilość materiałów, aby dać odpowiedź dotyczącą wszystkich połączeń w kraju. Nie jest to jednak takie proste, gdyż do tej pory nie został wydrukowany skrócony rozkład jazdy PKS, a więc informator musi posługiwać się rejonowymi rozkładami jazdy PKS, a to wymaga czasu. Przed okienkiem natomiast stoi kolejka i niecierpliwi się, bo każdy czeka na pilną dla siebie informację.

— Pasażer PKS przebrnął już przez pierwsze kłopoty, ma bilet w kieszeni i usiłuje wsiąść do autobusu. Przy drzwiach robi się tłok, każdy chce wsiąść pierwszy, bo wie, że często sprzedano więcej biletów, niż jest miejsc w autobusie. Czy tak musi być?

— Tabor nasz do pewnego czasu składał się z „sanów" i „jelczy" z przewagą „sanów". „San" ma 34 miejsca siedzące, „jelcz" jest autobusem wygodniejszym, ale zbyt głośno pracuje w nim silnik i jest to autobus dość „sztywny". Od 1973 roku zaczęły wchodzić do użytku w PKS autobusy marki „autosan" różnych typów. Ma on tyle samo miejsc co „san", wygodniejsze siedzenia, ale często się psuje. W tej chwili blisko 70 proc. taboru, to „autosany". Ale też dziennie, co trzeci „autosan" idzie do remontu. W 1974 roku otrzymaliśmy jugosłowiańskie autobusy „sanos" typu lux i standard z lotniczymi fotelami. Autobusy te przejechały już po pół miliona kilometrów i nie można ich wysyłać na dalekie trasy. Pojemne „jelcze" z przyczepami zostały w części zastąpione 75-miejscowymi „sanosami" typu podmiejskiego, co trochę złagodziło nasze kłopoty. Mimo wszystko nastąpiła dość znaczna zmiana struktury taboru, co spowodowało wzrost zatrudnienia i spadek wydajności.

— Na liniach dalekobieżnych, gdzie można sprzedawać tylko tyle biletów, ile jest miejsc, kiedy podróżny spędza w autobusie wiele godzin, można byłoby oczekiwać, aby PKS zapewnił podróżnemu możliwość napicia się choćby wody mineralnej. Jest to jednak tylko marzenie.

— PKS ma tylko jedną linię ekspresową z Warszawy do Katowic, gdzie w autobusie jest stewardesa, która podaje napoje i prasę oraz sprzedaje bilety na trasie. Były jeszcze stewardesy na linii do Szklarskiej Poręby, ale krótko. PKS stanął wobec konieczności dokonania pewnych ograniczeń. Trzeba było więc zrezygnować z pewnego komfortu, aby w ogóle zapewnić możliwość komunikacji autobusowej.

Rok 1979 jest chyba ostatnim rokiem, kiedy w autobusach PKS można jeszcze spotkać konduktora.

— Kto będzie sprzedawał bilety na trasie? Kierowcę to bardzo obciąża i opóźnia to odjazd autobusu.

— Rezygnowanie z pracy konduktora w autobusie nie jest tylko naszym pomysłem. W wielu krajach tak się postępuje. Chodzi tylko o to, aby zastąpiła go sprawnie działająca inna organizacja sprzedaży biletów. Sprzedaż biletów przejmą ajencyjne punkty. Chcemy, aby bilety PKS sprzedawały kioski „Ruchu", sklepy gminnych spółdzielni, urzędy pocztowe, kasy kolejowe, a także indywidualni ajenci, którzy podpiszą z PKS umowę.

— Są chętni?

— Mało.

— Dlaczego?

— Ajentów poszukujemy na ogół tam, gdzie sprzedażą biletów nie może się zająć, ani „Ruch", ani GS, ani inna instytucja, gdyż jest daleko położona od przystanku PKS. Stawiamy określone wymagania. Musi to być osoba ciesząca się zaufaniem wiejskiej społeczności, musi ona złożyć weksel gwarancyjny, który podpiszą żyranci. I najczęściej z tym właśnie są kłopoty. Na wsi wszyscy się dobrze znają, ale kiedy przychodzi do podpisania weksla, to każdy ma obawy i woli nie ryzykować.

— Jak więc to rozwiążecie?

— Wchodzimy w porozumienie z „Ruchem" i naczelnikami gmin. Chcemy, aby przy niektórych przystankach PKS lokalizowano kioski „Ruchu". To by ułatwiło nam sprawę. Poza tym bilety, jakie wprowadzamy, przypominać będą tramwajowe, tzn. są to takie bilety, które upoważniają przejazd autobusem PKS z danej miejscowości, gdzie był kupiony, do innej dowolnej, do której bilet kosztuje tyle, ile wynosi jego cena. I jest on ważny tak długo, aż zostanie skasowany. Czyli każdy może się jednorazowo zaopatrzyć w dowolną ilość biletów, w tym również w powrotne.

— Ale to nie znaczy, że rezygnujecie z rozbudowy sieci dworców PKS? Wiele dworców wcale nie zasługuje na taką nazwę.

— Nie rezygnujemy, tylko sprawa jest teraz nieaktualna. Wszelkie zamierzenia tego rodzaju zostały odłożone na czas późniejszy. Jedyny dworzec, który się teraz buduje, to centralny dworzec PKS w Warszawie — Warszawa Zachodnia, który buduje się od lat. Nowy rozkład jazdy przewidywał, że od 28 maja 1979 roku będą z tego dworca odchodziły autobusy, ale do tej pory nie odszedł ani jeden.

Dla nas, dla miejscowości w województwach: łódzkim miejskim, piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim byłaby to sprawa wybudowania 20 dworców lub przystanków dworcowych PKS. Zakładamy, że w każdym mieście, posiadającym więcej, niż 10 tys. mieszkańców powinien być przyzwoity dworzec PKS, albo przystanek dworcowy. Ale trzeba na to jeszcze poczekać. W niektórych wypadkach przyśpieszenie budowy zależy od inicjatywy społecznej mieszkańców.

— Skoro trzeba czekać na dworce, to czy możemy się spodziewać, że jednak będziemy jeździli wygodniejszymi autobusami PKS? Jakich by Pan sobie życzył autobusów?

— Ja bym sobie życzył, abym mógł sobie życzyć. Ilość i typy autobusów, jakie otrzymuje PKS, są z góry określone. Na ten rok w dostawach autobusów dla nas 90 proc. stanowią „autosany".

Posiadamy na przykład parę przyczep do „jelczy", które nadają się do eksploatacji, ale „jelczy" nie dostaniemy, choć o nie zabiegamy. Te natomiast, które posiadamy są już tak zużyte, że nie mogą ciągnąć przyczep. Struktura naszych przewozów, to, że przede wszystkim przewozimy ludzi do pracy i młodzież do szkół predysponowałaby nas do tego, abyśmy otrzymywali autobusy dużej pojemności. Łatwiej byłoby nam szybko przewieźć duże ilości ludzi z miejsca na miejsce. Ale praktyka wykazuje, że średnia ilość miejsc w autobusie systematycznie się zmniejsza. Cztery lata temu średnia ilość miejsc w autobusie wynosiła przeszło 50, a teraz wynosi 44,5.

Poza tym, chociaż każdy autobus na każdy dzień ma dokładnie określone zadania i zachowuje się nawet pewną rezerwę, licząc się z tym, że trzeba będzie coś w nim szybko naprawić, to i tak każdego dnia mamy o 9 proc. autobusów mniej, niż powinno pracować. Nie jest to dla nas przyjemna sytuacja, gdyż z każdym kupującym zawieramy umowę i nie zawsze możemy wywiązać się na czas z tej umowy.

— PKS ma różne zadania. Które uważacie za najważniejsze?

— Dowożenie młodzieży do szkół i ludzi do pracy.

— Czy przewozy ludzi do pracy zawsze odbywają się w racjonalny sposób?

— Nie. Ale to wynika ze zróżnicowania płac w różnych dziedzinach gospodarki. Powiedzmy, że wozimy portierów z Pabianic do Bełchatowa i z Bełchatowa do Pabianic. Mogliby pracować na miejscu. Ale nie zamienią się, gdyż straciliby na tym finansowo. Jest to przykład abstrakcyjny, ale oddaje on istotę rzeczy.

— Czy wasze autobusy wożące ludzi do pracy są w pełni wykorzystane?

— Czasem wozimy powietrze.

— Czy wam się to opłaca?

— Koszt przewiezienia jednego podróżnego na odległość 1 km wynosi około 24 groszy. Natomiast podróżny korzystający z biletu miesięcznego pracowniczego, czy szkolnego płaci 10 groszy za kilometr. Bank daje dotację w wysokości 5 groszy za kilometr, tak więc mamy 15 groszy za km, ale to jest mniej niż 24. Około 40 proc. autobusów każdego dnia wozi ludzi do pracy na umowach z fabrykami, czy instytucjami. Wozimy za 17 gr za km.

— Z tego wniosek, że bardziej opłaca się wam wozić indywidualnych pasażerów, gdyż płacą po 24 groszy za km.

— Nawet więcej, ale zobligowani jesteśmy do wożenia dzieci i ludzi do pracy.

— A czy nie można byłoby zmienić zasad rozliczeń między zakładami pracy a PKS?

— Sądzę, że gdyby zakłady pracy pokrywały pełny koszt przewozu pracownika do pracy, to często zastanowiłyby się, czy im się to naprawdę opłaca.

Przepis stanowi, że można z zakładem pracy zawrzeć umowę, kiedy autobus jest wykorzystywany w 95 procentach. Gotowi jesteśmy tolerować 70-procentowe wykorzystanie autobusu. Ale zakłady tego nie respektują, a jest to szkodliwe społecznie. Bo niektóre autobusy jeżdżą nie wykorzystane, a ludzie daremnie czekają na autobus czasem w deszczu i śniegu lub w upale.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy przy budowie nowego rozkładu jazdy bierzecie pod uwagę postulaty społeczeństwa?

— Zasięgamy przedtem opinii u naczelników gmin i w wydziałach komunikacji Urzędów Wojewódzkich, rozpatrujemy postulaty, które wpływają do nas w listach, z prasy, radia, czy telewizji.

— Co Panu potrzeba, aby czuł się Pan zadowolony z pracy przedsiębiorstwa i był w porządku wobec pasażerów?

— Autobusów o niezawodności technicznej wynoszącej 90 procent i ludzi w dostatecznej ilości, którzy w pełni byliby odpowiedzialni za swoją pracę.

— Czy jest Pan optymistą?

— Czy widziała pani dyrektora, który nie byłby optymistą?

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

„PASJE DNIA POWSZEDNIEGO"

DZIEJE JEDNEJ FABRYKI

W lipcu 1979 roku **Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego „Eskimo"** obchodziły jubileusz 150-lecia istnienia. W tym czasie ukończono druk przygotowanego przez **Wydawnictwo Łódzkie** zbioru reportaży, pt. **„PASJE DNIA POWSZEDNIEGO"**, które tę właśnie — jedną z najstarszych w Polsce — fabrykę uczyniły swym tematem. Jest to plon rozstrzygniętego przed dwoma laty konkursu na reportaż. Nagrodzone prace były jesienią 1977 roku opublikowane na łamach „Odgłosów".

Historia powojennego polskiego reportażu wiąże się z dziejami wielkich budów, ogromnych inwestycji gospodarczych. Rzadziej jednak zdarzają się reporterskie książki traktujące o obiektach skromniejszych, ale przecież również ważnych.

Najciekawszy okres w życiorysie „Eskimo" przypada na lata powojenne, szczególnie zaś — siedemdziesiąte, które — jak podkreśla Mirosława Zarzycka, autorka wstępu do omawianej książki (nb. zakładowy socjolog) — przyniosły dla fabryki ogromne zmiany. Nic więc dziwnego, że wkrótce za nowoczesnością wkroczyli do „Eskimo" reporterzy.

Niechaj jednak nie myli czytelnika fakt iż wizycie tej patronowała dyrekcja — jako organizator konkursu... Nie chodziło bowiem o okolicznościową jubileuszową laurkę ani o stereotypowy jednostronny zapis ekonomicznych osiągnięć fabryki — jako liczącego się eksportera w branży bawełnianej, członka „Klubu Miliarderów"...

Udało się natomiast autorom uwiecznić historyczny dla zakładów moment przemian, tudzież nader interesujący obraz, jaki powstał ze zderzenia się „starego" z „nowym", i to na wielu płaszczyznach, zarówno w sferze ekonomii, organizacji, produkcji, technologii itp., jak i w postawach oraz świadomości człowieka.

Na dzieje i współczesność fabryki spojrzeli autorzy nie tylko poprzez fakty i liczby z zakładowych statystyk. Przede wszystkim interesowały ich losy robotników, majstrów i inżynierów (oraz ich rodzin) i to, jak w nich przegląda się historia i dzień dzisiejszy „Eskimo".

Obie te tendencje: do tropienia przemian, „gorących" punktów, w których przeszłość ściera się ze współczesnością oraz do śledzenia „wielkiej" historii poprzez indywidualne ludzkie losy, widoczne są we wszystkich reportażach zawartych w „Pasjach dnia powszedniego": od otwierającego książkę — pióra **Wojciecha Adamieckiego** — po zamykający ją — autorstwa **Mirosława Kuźniaka.** I tylko ton obu tych, tworzących kompozycyjną klamrę, reportaży jest inny.

W pierwszym, którego tytuł nosi również książka, dominuje zaskoczenie zmieszane z szacunkiem, a nawet podziwem dla żywotności fabryki; nad drugim jednak unosi się nuta żalu. W czasie gwałtownej „rewolucji technicznej" nie obyło się bowiem bez strat. Taką jest — zdaniem autora — zamiana dawnej sali teatru na sortownię i zanik wieloletniej tradycji robotniczej sceny... Pozostałe reportaże wahają się między dwoma nastrojami, punktami widzenia: bardziej praktycznym, będącym pod widocznym wrażeniem dokonujących się przemian i sentymentalnym, upuszczającym łezkę za odchodzącą przeszłością.

Przeszłość ta daje się odczytywać z rozmaitych źródeł. Przede wszystkim z dowodów i znaków pozostawionych w murach, maszynach, w atmosferze fabryki (gdzie — jaki pisze Adamiecki — „wszystko obrośnięte śladami dawnych lat, jak stare drzewo mchem") oraz ze śladów w pamięci. Także: z okruchów tradycji rozsypanych w robotniczym obyczaju, folklorze (skąd pochodzą teksty piosenek, którymi w „Łódzkim życiu" przeplata reporterską narrację **„Anna Strońska)** czy w sztuce (teatr w „Najcichszej sali" **M. Kuźniaka**). Ale nieraz także udaje się reporterom złapać przeszłość niejako „za rękaw", w samym momencie odejścia. Tak jak w reportażu **Lucjusza Włodkowskiego** („Nie każdy musi kochać komendanta...") — zapisie wspomnień i refleksji wieloletniego szefa służby wartowniczej, który sportretowany został w czasie ostatniego nocnego obchodu po fabryce... W ten sposób „na naszych oczach" teraźniejszość staje się przeszłością.

I oto w fabryce, o której trudno powiedzieć, gdzie w niej kończy się „produkcja", a zaczyna muzeum, pojawia się nowoczesność. Reporterzy pokazują ten proces wielostronnie: jako sumę faktów, które przedłużają życie fabryki i jako łańcuch często nie dających się przewidzieć konsekwencji. Stare nawyki, przyzwyczajenia i związane z nimi opory interesują choćby **Konrada Turowskiego.** Tytuł „Moment wirażu" nie przypadkiem pojawia się nad jego tekstem. „Wprowadzenie w wiraż nowoczesności zakładu, w którym prawie 150 lat w ten sam sposób wytwarzano te same towary, nie może przejść gładko" — wyjaśnia autor, pokazując ten niełatwy proces na jednym, ale trafnie dobranym przykładzie — nowych wzorów.

Ale modernizacja wielkiego zakładu jest sprawą rozgrywającą się jednocześnie na wielu płaszczyznach. Płaszczyznom tym przyglądają się inni autorzy, starając się nie stracić z oczu tego, co tę nowoczesność hamowało i hamuje. Przyczyny subiektywne, tkwiące w ludziach, wyjaśnia **Andrzej Makowiecki** w reportażu „Zostaw mnie, dobry człowieku". Puenta jego rozważań na ten temat brzmi optymistycznie: „powszechny lęk przed zmianami" jest już przeszłością. Ostrożniej w tej samej materii formułuje wnioski **Krzysztof Pogorzelec** („Jej Wysokość Bawełna"), który jako jedyny autor szerzej zainteresował się najdalszą przeszłością „Eskimo".

Z dziedzin bezpośrednio związanych z produkcją, z podnoszeniem wskaźników ilości i jakości, nowoczesność — a za nią również uwaga reporterów — przesuwa się na płaszczyzny inne. Wiele z tego, co dzieje się poza halą fabryczną, a nawet poza murami zakładów ma na tamte dziedziny wpływ ogromny. Reporterzy, wkraczając na teren zdobyczy oświaty, kultury, socjalno-bytowych nie zapominają o tych wszystkich problemach, które i tutaj niesie ze sobą nowoczesność. Do chwili niemal historycznej urasta dzień, w którym odbyło się losowanie mieszkań (Adamiecki). Symbolicznej wymowy nabiera zbiorowy akces tkaczek do zajęć z gimnastyki rekreacyjnej (Adamiecki), albo fakt podjęcia przez dziecko z włókniarskiej rodziny studiów na kulturoznawstwie (Strońska). Inne dziecko kończy PWSM i koncertuje w operowej orkiestrze (Makowiecki), a młody przewodniczący rady zakładowej „Eskimo" organizuje w tym czasie plener malarski na terenie fabryki (**A. Jankowski:** „W domu to ludzie umierają")...

Wszystkie te fakty, na pozór drobne i nieznaczące, układają się niby kamyczki na coś, co za K. Pogorzelcem nazwać by można „socjalną mozaiką". Z niej wyłaniają się problemy, których nie sposób pominąć, szkicując reporterskim piórem obraz fabryki, zbiorowy portret jej kilkutysięcznej załogi.

Foto: R. Łucyszyn

TOMASZ SOLDENHOFF

„Pasje dnia powszedniego". Wyboru dokonał Jerzy Gos. Łódź 1979, Wydawnictwo Łódzkie, s. 143, nakład 2.200 egz.

„TELEWIZJĘ MAMY W DOMU..."

W roku 1828 przybyły z Saksonii z ręcznym wózkiem Ludwik Geyer założył prymitywną drukarnię perkalu, tkanego chałupniczo w Łodzi i okolicy. W 11 lat później, tenże Geyer ściągnął do Łodzi pierwszą w Królestwie Polskim maszynę parową. Dzięki niej przedsiębiorstwo rozrosło się w potentata przemysłu bawełnianego. Takie były początki ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego „Eskimo" w Łodzi, w ubiegłym roku spełniło się 150 lat. Z tej okazji, realizując porozumienie o współpracy pomiędzy organizacjami partyjnymi Związku Literatów Polskich i „Eskimo" rozpisano konkurs na reportaż o fabryce. I nagrodę w tym konkursie uzyskała praca *Wojciecha Adamieckiego „Pasje dnia powszedniego"*, od której nadano tytuł zbiorowi reportaży o „Eskimo".

Nim jednak ukazała się książka, z inicjatywy Janusza Zienki, który z ramienia Łódzkiego Domu Kultury koordynuje w województwie długofalową akcję „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką", powielono tekst reportażu Wojciecha Adamieckiego i przedstawiono go do dyskusji załodze fabryki. Oto garść refleksji, uwagi i zwierzenia pracowników ZPB im. F. Dzierżyńskiego, wywołanych lekturą reportażu „Pasje dnia powszedniego".

MARIA KIELMA: — *Pracuję na snowalni już dwadzieścia jeden lat w „Eskimo". A u mistrza Leszka Piestrzyńskiego cztery lata. Chętnie czytałabym książki, tylko nie mam czasu. Córka dorosła przynosi do domu książki z biblioteki, mamy też trochę własnych książek.*

Dopiero teraz dowiedziałam się, że przed rokiem rozpisano konkurs na reportaż o naszych zakładach. Ale kiedyś czytałam już „Pasje dnia powszedniego" w „Odgłosach", które mi ktoś wręczył w zakładzie. W tym reportażu znalazłam coś bliskiego sercu, bo jest opisanych wielu moich znajomych. Znam pana Mamrota, byłego kierownika przygotowalni, bo pracowałam na czyszczarni, to był zresztą mistrz mojego męża, który pracował tutaj dwadzieścia sześć lat, teraz odszedł na rentę chorobową. Znam Piestrzyńskiego i majstra Chmielewskiego.

Od czasu, jak napisano ten reportaż, w zakładzie nieco się zmieniło, założono parkiet, choć jeszcze nie całkowicie. Założyli, to dobrze, chociaż ja byłam na tym poszkodowana, bo przewróciłam się i złamałam palec u nogi.

Ja nie wiem, czy zakład będzie zbudowany w innym miejscu zupełnie od nowa, bo jak się stoi przy maszynie, to człowiek z nikim nie rozmawia. Maszyna huczy i nic się nie słyszy. I nic się nie mówi. A potem się człowiek śpieszy do domu, no bo w domu też jest praca.

WANDA PANIŃSKA: — Pracuję na oddziale przygotowawczym już czternaście lat. Wcześniej pracowałam u „Waltera", z jakieś dwa lata. I miałam przerwę, bo urodziłam dziecko. A potem przyszłam do „Eskimo".

Książkami interesuję się może mało, telewizją oczywiście tak. Jak jest trochę czasu, to tej książki nie chce się po prostu wziąć do ręki, ale spojrzeć w telewizor czy do kina pójść, to owszem, tak. Ale więcej oglądam telewizję. Bo jednak musimy się narobić na tej przewijalni.

Mamy teraz lepszą maszynę, jest wydajniejsza, lżej się pracuje. I dostajemy teraz dwa fartuchy na półtora roku, a wcześniej dostawało się jeden, drelichowy, taki ciężki. Tak, to duża zmiana. Są lżejsze czapeczki, mydełko lepsze! To jest dużo dla nas, kobiet. Mamy też lepsze światło, jarzeniówki. Jak jest na innych oddziałach, to nie wiem, bo mało przebywam.

Jak by coś było ciekawego, to z chęcią bym przeczytała, nawet reportaż. Podobno ma być cały wybór prac z tego konkursu, to mnie interesuje. Bo jak się czternaście lat pracuje, to jednak człowiek zżył się z tym zakładem. Tak się tu przychodzi, jak do domu. Dba się, żeby była w porządku maszyna, żeby było koło niej czysto.

JANINA WOSZCZYK: — *Pracuję bardzo krótko, nawet jeszcze nie rok, na przewijalni. Przeszłam tu z innego zakładu. Praca podoba mi się, mamy bardzo fajnego mistrza, nie można powiedzieć. Ja wiążę nitki w przewijalni. Czy czytam książki? Jak mi czas pozwoli. Mam małe dziecko, więc nie mam za dużo czasu, żebym mogła czytać książki, ale czytam. Jak chodziłam do szkoły, to czytałam bardzo dużo, ale teraz mam mniej czasu na czytanie.*

Lubię książki przygodowe, historycznych tak za bardzo nie czytam. Filmów też nie oglądam za dużo. W teatrze to nie pamiętam, kiedy byłam. Dziecko ma półtora roczku. Nie chodzi do żłobka. My z mężem pracujemy na różne zmiany, a mąż jeszcze chodzi do szkoły, tak że ja wszystko muszę wziąć teraz na siebie.

Mamy w domu telewizor, więc od czasu do czasu oglądam telewizję. Lubię dobry film, popatrzeć na dziennik jak są ciekawe wiadomości, jakiś dobry teatr. Jak natrafię na dobry program publicystyczny, to też go oglądam.

Przeczytałam „Pasje dnia powszedniego". To dobry reportaż. Podobał mi się, szczególnie wypowiedź pana Piestrzyńskiego. Innych bohaterów tego reportażu nie znam. Z tego reportażu dużo dowiedziałam się nowego o naszym zakładzie, poznałam trochę jego historię.

TERESA BARTOL: — Pracuję na snowalni, w tych zakładach trzynaście lat, od czasu skończenia szkoły. Z pracy jestem średnio zadowolona. Nie podoba mi się, że maszyny są stare, przędza źle idzie. Przędza się zrywa, a ja sama pracuję i trzeba się nabiegać, namęczyć, ciężko jest. Zdarza się, że tej przędzy brakuje, ale rzadko. Przędza jest słaba, bo chyba przewijaczki źle przewijają.

Czytam rzadko, nie lubię czytać i nigdy nie lubiłam nawet jak chodziłam do szkoły. W teatrze ostatni raz byłam dwa lata temu. W operze jeszcze nigdy nie byłam bo nie lubię opery. Mąż też do teatru nie ciągnie, do kina prędzej. Jest konwojentem. Telewizję oglądam: dziennik, seriale. „Ziemię obiecną" oglądałam, ale nie całą, bo w niedziele to się zawsze wyjdzie do rodziny. Wiem, że niektóre zdjęcia były kręcone u nas w zakładzie, na tkalni.

JÓZEF KOWALCZYK: — *Jestem snowaczem osnów na krochmalni, od czterdziestego piątego roku, od 17 listopada. Przeczytałem reportaż Adamieckiego, to jest takie życie nasze, ludzkie. Ja pracuję bez przerwy trzydzieści cztery lata. Nie wiem, czy moje życie było ciekawsze od Piestrzyńskiego.*

Jestem żonaty, mam dwoje dzieci, syna i córkę. Syn żonaty, pracuje na bazie, a córka pracuje w biurze. Syn „skończył technika", a córka maturę. Dzieci poszły dalej niż ja w wykształceniu. Ja nie miałem okazji się uczyć.

Nie mam w domu biblioteczki i nie sięgam po książkę, ale ten „Głos" to zawsze się przeczyta. Żona też czyta, „Express" sobie kupi. Do kina i teatru nie chodzę, telewizję mamy w domu.

Nie wiedziałem, że w zakładzie przebywali dziennikarze i że był ogłoszony konkurs. Nie wiem, czy dowiedziałem się z reportażu coś nowego.

STEFAN WOSZCZYK: — Pracuję na oddziale przygotowawczym w tkalni, w klejarni. Czytałem ten artykuł. No, cóż można powiedzieć na ten temat? Wydaje mi się udany, ale czegoś mu brak. Ten artykuł, jak ja to rozumiem, to nie wiadomo czy jest w ogóle o całej tkalni? o całym oddziale? o całym zakładzie? Niektóre osoby są wyróżnione, z tym, że najciekawszy wydaje mi się fragment o mistrzu Piestrzyńskim, którego znam osobiście, jestem na jego zmianie. Pracuję z mistrzem Piestrzyńskim około dziesięciu lat, tak że na pewno więcej wiem o tym człowieku niż dziennikarz. O Piestrzyńskim można napisać więcej i więcej dobrego. Bo w reportażu jest więcej o jego życiu niż o działalności na oddziale. A to człowiek szanowany i opinię ma bardzo dobrą. Wolałbym, aby bohater reportażu ukazany był raczej w środowisku pracy.

Interesuję się literaturą. Książek nie kupuję. Należę do wypożyczalni. Czytam, ile mogę i w mojej rodzinie czyta się książki.

* * *

Przy okazji omawiania tomu reportaży o „Eskimo", jaki ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, zdecydowaliśmy się przedstawić Czytelnikom również wypowiedzi niektórych przedstawicieli załogi fabryki, chociaż są one wywołane tylko jednym, tytułowym reportażem. Tym niemniej — naszym zdaniem — mówią one sporo o załodze, która jest przecież bohaterem wydanej książki „Pasje dnia powszedniego".

JERZY DARNAL

TRZY TYSIĄCE MIL PO WSCHODNIM WYBRZEŻU

Dalszy ciąg ze str. 1

Inka jest członkiem Automobile Club of New York. W przeddzień wyjazdu odwiedziła elegancki lokal tej organizacji przy Broadway'u. Płacąc trzydzieści dolarów rocznie uzyskuje się prawo do bezpłatnego holowania w razie awarii, wymiany koła jeśli „nawali" opona oraz wszelkiego poradnictwa. Przedstawiciel klubu natychmiast poprosił nas do stolika przy którym prawie godzinę objaśniał, wodząc po mapie, trasę z Nowego Jorku aż do Key West. Prawdopodobnie trwałoby to jeszcze dłużej, ale nagle przerwał swoje wywody i nieco konfidencjonalnym szeptem zakomunikował:

— Znowu przyszedł mister Jefferson, to bardzo wrażliwy klient — oburza się jeśli nie zwracam się do niego per „miss Jefferson"...

Przyznam, że widok rosłego Murzyna w damskiej peruce i z wypchanym biustem, który wymagał, by w Automobile Club traktowano go jak kobietę, wywołał na mnie mniejsze wrażenie niż np. demonstracja matek niosących na Madison Avenue transparenty z napisem: „Dumna jestem, że mój syn jest homoseksualistą"...

Automobile Club of New York, zrzeszony w American Automobile Asociation, wyposażył nas w najnowszą edycję „Tour Book", serię książeczek-przewodników zawierających wszechstronne informacje turystyczne, mapy samochodowe, kwity ubezpieczeniowe oraz „Triptik" z dokładnie wyrysowaną zielonym flamastrem trasą przez New Jersey, Pensylwanię, Delaware, District of Columbia wokół stolicy USA, Waszyngtonu, i dalej wzdłuż Wschodniego Wybrzeża — Maryland, Virginię, West Virginię, Georgię, North Carolinę i South Carolinę. Oczywiście, jak przystało na organizację służącą kierowcom, w owym „Triptiku" zaznaczono wszystkie miejsca, w których możemy się spodziewać kontroli radarowej.

W Stanach Zjednoczonych policja nie ma prawa zatrzymać kierowcy bez powodu, według własnego uznania. Sąd Najwyższy, stosunkiem głosów 8 do 1, orzekł, że **„podobnie jak konstytucja chroni obywatela z chwilą, gdy wejdzie do swego mieszkania, chroni go także wówczas, gdy z chodnika przejdzie do swego auta. Wobec tego udzielenie zezwolenia policji na przypadkowe zatrzymywanie pojazdów w celu „normalnego" sprawdzenia dokumentów jest pogwałceniem Czwartej Poprawki do Konstytucji, i może stworzyć dla kierowcy powód do zaniepokojenia".**

Takie orzeczenie wydano w związku z zatrzymaniem w listopadzie 1977 roku, na szosie w stanie Delaware, pewnego kierowcy, i ujawnienia w czasie kontroli, że przewozi marihuanę. Adwokat oskarżonego zwrócił uwagę, że gdyby policjanci patrolujący higway nie zatrzymali całkiem przypadkowo samochodu, być może nigdy by się nie dowiedzieli o popełnieniu przestępstwa. Sąd przyznał mu rację i oddalił oskarżenie...

Biada jednak temu, kto na autostradzie przekroczy obowiązujące ograniczenie szybkości do 55 mil na godzinę i złapie go kontrola radarowa, ukryta zwykle w krzakach na poboczu takiego odcinka, że aż noga swędzi, aby mocniej przycisnąć pedał przyśpieszenia. Jak spod ziemi pojawia się radiowóz policyjny wyposażony w potężne syreny alarmowe i silne, czerwone światła na dachu. Kto żyw umyka z drogi. Niech no tylko ścigany nie zatrzyma się zaraz, radiowóz zajedzie mu drogę nie bawiąc się w żadne ceregiele, a policjanci wyskoczą z rewolwerami gotowymi do strzału. Jakikolwiek podejrzany ruch kierowcy może ich sprowokować. W kraju, gdzie prawie każdy ma prawo kupić jaki chce pistolet, wciąż w takich sytuacjach obowiązuje zasada — ten uchodzi z życiem, kto pierwszy strzela... Widziałem kierowców, którzy w poczuciu własnego, dobrze rozumianego bezpieczeństwa, posłusznie, z podniesionymi rękami, wysiadali z samochodów i rozkładali się twarzą do blachy, na maskach szybkich „Trans Am", aby poddać się rewizji. Widziałem również jak opornych zmuszał do tego jeden, sprawny cios w kark.

W większości stanów przekroczenie szybkości nie jest wykroczeniem, za które karze się mandatem jak np. za zaśmiecanie autostrady — od 50 dol, w stanie New York do 500 dolarów na Florydzie, ale jest przestępstwem zagrożonym bezwzględnym aresztem. Niewiele pomaga CB Radio, które kierowcy — przede wszystkim ciężarówek, wykorzystują do wzajemnego ostrzegania się przed patrolami policyjnymi. Policjanci potrafią ich przechytrzyć tak jak wynaleźli już sposób na zakłócanie instalowanych w samochodach, kosztownych wykrywaczy radaru.

Nasz błękitny „Plymouth-Fury" przejechał w sumie ok. 3 tys. mil po Wschodnim Wybrzeżu i, na szczęście, nie był obiektem zainteresowania policji. Głównie to chyba zasługa regulatora szybkości, prowadził samochód z niezmienną prędkością, mimo wzniesień i pochyłości. Godzi się też dodać, że „Fury" uważa się w amerykańskich warunkach za samochód małolitrażowy i ekonomiczny. Ma sześć cylindrów, a na sto kilometrów pali „tylko" 14 litrów benzyny. Z przodu mogą swobodnie siedzieć trzy osoby...

Nie śpieszyliśmy się. W Waszyngtonie spędziliśmy prawie cały dzień. Na drzwiach pałacyku zajmowanego przez Ambasadę Iranu przy Massachusetts Avenue, w dzielnicy obcych przedstawicielstw wisiała wymowna, odręcznie wypisana kartka: „closed"...

Przy 16 ulicy pod numerem 2640 mieści się Ambasada PRL. Odwiedziłem reżysera Jerzego Antczaka, który od niedawna piastuje stanowisko radcy kulturalnego. W przytulnym saloniku był czas na wspomnienia z Łodzi i amerykańskie plany mego rozmówcy.

W rekomendowanym przez „AAA" motelu „Days Inn" koło Rocky Mount w Północnej Garolinie, rozmyślnie oszukałem automat wprawiający tapczan w rytmiczną wibrację. Skoro zabrakło monety ćwierćdolarowej, a znalazłem przy sobie 10-złotówkę, postanowiłem zaryzykować — czy maszyna zareaguje na nasze pieniądze?... Trzęsła tapczanem pełne 15 minut!...

Przejeżdżając przez Georgię wstąpiliśmy do Savannah, a ściślej do „Fortu, który ma zaszczyt nosić imię gen. Kazimierza Pułaskiego". Na poczesnym miejscu w sali wystawowej, widnieje urna z przywiezioną tu 19 lipca 1978 roku ziemią z Warki, gdzie 232 lata temu urodził się bohater Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Cały dzień żyliśmy atrakcjami gigantycznego wesołego miasteczka — „Walt Disney World". I tak nie zobaczyliśmy wszystkiego. Trzeba by ze trzy dni, od rana do późnego wieczoru tutaj spędzić, aby zażyć pełni „szczęścia" jakie mogą zapewnić najrozmaitsze karuzele, jaskinie piratów, przejażdżki parostatkami, zamki z duchami i strachami oraz wiele innych ciekawostek zgoła jarmarcznych, ale oferowanych w wykonaniu doprowadzonym do absolutnej perfekcji, przy wykorzystaniu najnowszych zdobyczy techniki, z laserową włącznie.

Po drodze wstąpiliśmy do Kennedy Space Center, gdzie po wykupieniu biletu za 3 dolary od osoby, można nie tylko oglądać prawdziwe statki kosmiczne ale również sfotografować się z „prawdziwym" astronautą w kombinezonie kosmicznym, z emblematami NASA...

Nie sposób też było oprzeć się pokusie, aby nie obejrzeć olbrzymiej małpiarni „Monkey Jungle", gdzie wędrując długim korytarzem z drucianej siatki staje się oczywiste, że małpy są na wolności, a zwiedzający zostali uwięzieni w klatce; „Serpentarium" z kobrami, od których Bill Haast, w obecności zamierającej z przerażenia publiczności, pobiera jad przeznaczony na wyrób medykamentów uśmierzających ból; tresowanych papug w „Parrto Jungle", dzikich zwierząt skaczących po samochodach w „Lion Country Safari" czy wreszcie słynnego „Miami Seaquarium" z tak wyćwiczonymi delfinami, że tylko chyba nie potrafią mówić ludzkim językiem...

Pod względem ilości najrozmaitszych atrakcji Floryda, obok Kalifornii, zajmuje czołowe miejsce w USA. Wyliczenie miejsc, gdzie prezentowane są osobliwości podzwrotnikowej fauny i flory zajmuje kilkadziesiąt stron w „Tour Book. To wszystko dla przeszło 30 milionów turystów, którzy każdego roku odwiedzają „Słoneczny Stan" i zostawiają więcej niż jedenaście miliardów dolarów. Miło mieć w tym własny udział...

Zaliczenie Florydy do jedenastu rejonów świata posiadających najlepszy i najzdrowszy klimat dało władzom niebagatelny atut reklamowy do zachęcania emerytów w całych Stanach Zjednoczonych, aby tutaj się osiedlali. Przeciętny dom murowany z dwoma sypialniami, jaki w okolicach Nowego Jorku kosztowałby ze sto tys. dolarów, tu można kupić za 35 tys. dol. Uboższym oferuje się po 12 tys. dolarów tzw. mobiles homes, coś pośredniego między luksusową przyczepą samochodową i domkiem campingowym. Jeszcze taniej wynosi wynajęcie mieszkania bądź zamieszkanie w łodzi motorowej, przycumowanej do brzegu...

St. Petersburg i rejon Suncoast w środkowej Florydzie mają już przydomek amerykańskiej stolicy weteranów pracy. Na 236 tys. mieszkańców aż 65 tys. to emeryci przybyli z różnych stron USA. Naturalnie, zachęcanie weteranów pracy do masowego osiedlania się nie jest bezinteresowne. Co miesiąc napływa przeszło 40 milionów dolarów w postaci czeków Social Security i innych świadczeń wypłacanych emerytom. Miliony te są cennym zastrzykiem ożywiającym całą gospodarkę Florydy, która właściwie nie ma żadnego przemysłu...

Prawie dwa tygodnie naszą bazą wypadową na Florydzie było Miami Beach, niesłusznie identyfikowane z Miami, które właściwie niczym się nie różni od wielu innych miast amerykańskiego Południa. Wprawdzie Miami i Miami Beach sąsiadują to jednak tylko to drugie, oddzielone od półwyspu florydzkiego Zatoką Biscayne, może rzeczywiście uchodzić za centrum światowej rozrywki i wypoczynku. Stutysięczne Miami Beach żyje wyłącznie z turystów. Dość podać, że miejsc w motelach, hotelach i zajazdach jest przeszło trzy razy więcej niż wynosi liczba stałych mieszkańców. Najdłuższa, biegnąca wzdłuż całego cypla, Collins Avenue zapełniona jest tylko hotelami i lokalami rozrywkowymi, od najbardziej wytwornych i luksusowych do całkiem przeciętnych. Rekomendowany przez „AAA" motel „Olimpia" plasuje się w klasie ekonomicznej. Za 15 dolarów dziennie otrzymaliśmy wygodny pokój z kuchnią, lodówką, telefonem, kolorowym telewizorem, klimatyzacją i widokiem na Ocean. W cenę pokoju wkalkulowano też korzystanie z basenu z podgrzewaną wodą, ale za lód z automatu trzeba już było płacić po 25 centów.

Miami Beach zaliczane jest do najspokojniejszych miast w USA, jeżeli idzie o napady i kradzieże. W bankach zaniechano umieszczania na widocznych miejscach tabliczek przypominających, że **„Rabunek banku ścigany jest przez władze federalne i zagrożony najwyższym wymiarem kary".** Sprzyja to lokowaniu tutaj depozytów niemal z całej Ameryki Południowej. Mówi się o tajemniczych dżentelmenach, którzy zwożą całe walizy dolarowych banknotów i zostawiają je nie żądając żadnego oprocentowania. Zadowalają się gwarancją, że w razie bankructwa banku odzyskają depozyt co najmniej w trzech czwartych jego wysokości. Opłaci się to bardziej niż ujawnianie danych związane z oficjalnym otwieraniem konta bankowego...

Niski procent przestępczości przypisuje się, o ironio, działalności mafii, która opanowała część przemysłu rozrywkowo-wypoczynkowego i angażuje „swoich ludzi" do czuwania nad zapewnieniem ładu i porządku, aby nic nie zakłócało sielskiego obrazu „raju wypoczynkowego", ściągającego turystów i emerytów.

Skądinąd wiadomo, że na Florydzie właśnie mają swoje bazy i punkty kontaktowe największe organizacje przestępcze zajmujące się przemytem narkotyków. Marihuanę nazywa się tu pieszczotliwie „maryśką", a za jednego „skręta", którego można palić zgoła legalnie w publicznym miejscu, płaci się jednego dolara. Uncja kokainy kosztuje 1,8 tys. dolarów. Władze zajmujące się ściganiem przemytników konfiskują co najwyżej dziesięć procent „towaru" rozprowadzonego poprzez Florydę na terenie całych Stanów Zjednoczonych...

W Miami Beach i niemal we wszystkich miastach na Florydzie łatwo można trafić do sklepików zapełnionych akcesoriami dla narkomanów. Pomysłowość tu nie ma granic. Oto np. za trzy dolary oferuje się dokładną kopię kluczyka samochodowego tak zręcznie skonstruowanego, że może zastąpić szczypce do trzymania marihuanowego peta. Takie kluczyki produkuje się dla młodzieży, aby ułatwić ukrycie nałogu przed rodzicami...

Pod powierzchnią „raju wypoczynkowego" nie brakuje też wielu innych problemów, jak choćby związanych z liczną rzeszą imigrantów, którzy władają tylko językiem hiszpańskim i nie chcą uczyć się angielskiego. Żądają aby hiszpański stał się, obok angielskiego, oficjalnym językiem na Florydzie. Napór jest tak silny, że uczyniono już wiele ustępstw wprowadzając np. hiszpańskie napisy na opakowaniach wyrobów przemysłowych, a na budkach, w których sprzedaje się „hot dogi" widnieją napisy „perros calientes".

W liczącej 1436 stron książce telefonów mieszkaniowych Miami i Miami Beach najpopularniejszym nazwiskiem jest Rodriguez. Abonenci noszący to nazwisko zajmują dziesięć pełnych stron, a na jednej stronie mieści się, wydrukowanych niemal mikroskopijną czcionką, po 440 nazwisk, adresów i numerów telefonów. W tej samej książce, którą „otwiera" Aaba Aaron a „zamyka" Zzzyd Vladimir, figurują tak znane nazwiska jak np. Ford Henry, Nixon R., Kennedy E. czy swojsko brzmiące — Radivill R., Jasinksy J., Kadulski A., Radzyniak M... Znalazłem też trzech Turowskich, ale żadnego pokrewieństwa nie udało nam się ustalić, tym bardziej, że tylko jeden z nich jeszcze mówi po polsku...

Licząca ok. 5 tys. osób kolonia Polonii w Miami ma własny klub. Wchodzących wita napis: „Czołem Rodacy", ale niemal wszyscy bywalcy, rekrutujący się ze starej emigracji zarobkowej bądź Amerykanie polskiego pochodzenia, w drugim a nawet trzecim pokoleniu, mówią tylko po angielsku. Polka z pochodzenia, p. Blanca Rosenstiel, która po mężu odziedziczyła pięć milionów dolarów, prowadzi znany wśród całej Polonii amerykańskiej American Institute of Polish Cultur. Propagująca polską kulturę placówka, mieści się w jednym z najbardziej eleganckich biurowców przy Brickell Avenue 1000. Pani Blanca organizuje też corocznie wytworne bale, na których spotyka się elita towarzyska, niekoniecznie polskiego pochodzenia.

Wyrazem uznania dla polonijnej działalności Blanki Rosenstiel stało się powierzenie jej w tym roku zaszczytnej funkcji przewodniczącej honorowego komitetu organizacyjnego Balu Kościuszkowskiego w sławnym hotelu „Waldorf Astoria" w Nowym Jorku. Goście zaproszeni przez milionerkę z Florydy zwolnieni byli z obowiązującej opłaty w wysokości 100 dolarów. Ale to inna historia. Ten wspaniały bal odbył się już po naszym powrocie do domu na Manhattanie, do nowojorskiego zgiełku i niebotycznych wieżowców, rzeczywistości zupełnie odmiennej, od spokojnego obrazu „parterowej" Ameryki rozciągającej się poza granicami nowojorskiego molocha...

KONRAD TUROWSKI

Foto: Autor

KRONIKA TYGODNIA

„Dymisja A. Younga. Amerykański ambasador w ONZ ofiarą szantażu syjonistów". Takim tytułem opatrzyła „Trybuna Ludu" z dnia 18 sierpnia informacje agencyjne o burzy politycznej, jaka wywołana została faktem spotkania się amb. Younga z przedstawicielem Organizacji Wyzwolenia Palestyny przy ONZ. Mimo iż ambasador Stanów Zjednoczonych oświadczył, że działał na własną rękę i nie otrzymał w tej sprawie instrukcji Waszyngtonu — **Izrael zareagował ostrą notą.** Departament Stanu zganił swego przedstawiciela, ale i to nie wystarczyło. W wyniku bardzo silnego nacisku lobby proizraelskiego — grupa senatorów demokratycznych i republikańskich zażądała od prezydenta zdymisjonowania Younga. Ten zaś, po długich rozmowach w Waszyngtonie, **złożył rezygnację, która została przez Cartera zaakceptowana.** Na konferencji prasowej Young powiedział, że „nie żałuje niczego, co zrobił" i że jego spotkanie nie może być interpretowane jako uznanie tej organizacji. Było to po prostu „badanie możliwości".

Tak przedstawiają się w skrócie fakty. A teraz nakreślmy ich tło. Otóż Izrael od kilkunastu dni nasilał uwagi krytyczne pod adresem Waszyngtonu, **posądzając amerykańską administrację o zmianę stanowiska wobec problemu palestyńskiego.** — Zaczynają brać górę — mówiono i pisano w Tel Awiwie — amerykańskie interesy naftowe. Nieprzejednane stanowisko krajów arabskich — producentów ropy — wpływa na tok myślenia niektórych polityków...

Vance, ba nawet Carter uznali za słuszne publicznie zaprzeczyć podejrzeniom Izraela. — Jesteśmy przeciwni utworzeniu samodzielnego państwa palestyńskiego — głosili na różne sposoby. Aż tu nagle Young w mieszkaniu ambasadora Kuwejtu spotyka się z przedstawicielem OWP. Dodać tu trzeba, że Kuwejt przedłożył właśnie Radzie Bezpieczeństwa projekt rezolucji, przyznającej Palestyńczykom prawo do własnego państwa i że dyskusja nad nim ma się rozpocząć w tym tygodniu. Stany Zjednoczone zapowiedziały wprawdzie, że będą głosowały przeciw, ale jednocześnie...

O tym, że rozwiązanie problemu palestyńskiego jest jednym z podstawowych warunków powrotu ustabilizowanego pokoju na Bliski Wschód — nie musimy przypominać. Nie musimy też objaśniać, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje Tel Awiw. A Stany Zjednoczone? Czy rzeczywiście zaczęły podwójną grę?

Z odpowiedzią na ostatnie pytanie musimy jeszcze poczekać. **Rezygnacja Younga daje wygraną Izraelowi,** ale to przecież nie stawia jeszcze przysłowiowej kropki nad i.

Odnotujmy natomiast reakcje ludności murzyńskiej na rezygnację Younga. Przywódcy Murzynów amerykańskich uważają, że **dymisja ta osłabia znacznie prezydenta Cartera i będzie kosztować go drugą kadencję w Białym Domu.** Prezydent nie może już liczyć na głosy czarnych wyborców — piszą niektóre dzienniki, przypominając jednocześnie, że Young był swego czasu bliskim współpracownikiem zamordowanego przez rasistów przywódcy Murzynów — Kinga.

* * *

Na łamach prasy światowej coraz więcej informacji i komentarzy poświęca się ruchowi krajów niezaangażowanych. Dzieje się tak dlatego, że już na początku **zbiera się w Hawanie VI konferencja szefów państw i rządów krajów niezaangażowanych.** Ruch ten grupuje obecnie 93 kraje, spełnił już i spełnia nadal istotną rolę w świecie, jest jednym z bardziej wpływowych czynników na arenie międzynarodowej.

Konferencja w Hawanie zwraca szczególną uwagę z kilku powodów.

Pierwszym z nich jest niewątpliwie fakt, że **odbędzie się po podpisaniu radziecko-amerykańskiego układu** o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych. Układ ten otwiera możliwości rozbrojeniowe, a przecież takim rozwojem wydarzeń kraje niezaangażowane są żywotnie zainteresowane.

Drugim powodem jest **zdecydowanie, z jakim kraje niezaangażowane dążą do nowego ładu ekonomicznego.** Kryzys energetyczny, konferencja dziewięciu państw kapitalistycznych w Japonii i program oszczędnościowy Cartera czynią temat jeszcze bardziej aktualnym.

Nowe skomplikowanie sytuacji na Bliskim Wschodzie w wyniku dwustronnego układu egipsko-izraelskiego na pewno stanowić będzie ważny nurt dyskusji w hawańskich obradach. Na poprzednim szczycie — w Kolombo **stwierdzono bowiem jednoznacznie, że sprawiedliwy i trwały pokój można osiągnąć tam jedynie na drodze powszechnego uregulowania problemu,** łącznie z uznaniem praw arabskich narodu Palestyny.

Dojdzie do kontrowersji, ponieważ część uczestników konferencji postulować będzie zawieszenie Egiptu z powodu jego separatystycznej polityki wobec Izraela, podczas gdy inni obawiają się słabienia ruchu w następstwie nieobecności w nim Kairu.

Szczyt, jak to oświadczył w wywiadzie dla „Borby" J. Broz-Tito, powinien dać „nową zachętę walce przeciwko kolonializmowi, neokolonializmowi, imperializmowi i wszystkim formom dominacji".

W. SŁAWSKI

BURZA NAD CZARNYM LĄDEM

Od czasów kolonialnego rozbioru, Afryka nigdy jeszcze nie znajdowała się pod naciskiem tak zmasowanej ofensywy imperializmu. Dramatyczne wydarzenia, które narody tego kontynentu przeżywały na przestrzeni ostatnich lat, były konsekwencją rosnącej aktywności krajów należących do NATO. Dziś apologeci imperializmu stroją się w togę humanistów, rzucając pięknie brzmiące hasła o pokoju, o pokojowym rozwiązaniu, pokojowym uregulowaniu, pokojowym rozwoju...

Jednak ubiegłoroczne wydarzenia w zairskiej prowincji Szaba, gorączkowa krzątanina wokół Namibii i Zimbabwe, otwarte i skryte popieranie reżimu RPA — świadczą raczej o tym, iż reakcyjne koła na Zachodzie kojarzą te pojęcia z pojęciem ujarzmiania. Uświadomiona część narodów Afryki doskonale zdaje sobie sprawę, iż „pokojowy rozwój", o którym koła te wciąż mówią, oznacza w rzeczywistości wyzysk narodów Afryki, w neokolonialnym stylu. Pokój w Afryce, jak go rozumieją zachodnie monopole oznacza w istocie możliwość zapewnienia im korzystnych warunków dla dalszej eksploatacji naturalnych bogactw tego ogromnego kontynentu. Zachodnie mocarstwa nie przejawiałyby aż tyle niepokoju z powodu wydarzeń w Zairze, nie okazywałyby takiego żywego zainteresowania Gabonem, nie występowałyby tak energicznie przeciwko postępowym rządom Mozambiku, Angoli, Beninu czy Madagaskaru gdyby kraje te nie posiadały ogromnych zasobów kobaltu, nafty, żelaza, miedzi, fosfatów. A czy RPA zabiegałaby z takim uporem o Namibię, gdyby kraj ten nie posiadał, obok innych skarbów, najbogatszych w świecie złóż uranu?

1.

Głównym celem rosnącej aktywności mocarstw zachodnich na kontynencie afrykańskim jest zahamowanie rozwoju świadomości narodowej ludów Afryki, rozwoju, który nieuchronnie doprowadzi do rozerwania najważniejszego ogniwa w światowym systemie kapitalistycznym. Afryka jest dziś areną walki nie tylko o surowce, lecz także o korzystne pozycje strategiczne. Dlatego wcale nie przypadkiem kraje członkowskie NATO godzą się na militaryzację Republiki Południowej Afryki. Niepoślednią rolę odgrywa tu strategiczne znaczenie Przylądka Dobrej Nadziei.

Jeszcze nie tak dawno wykryć neokolonializm było bardzo łatwo, ale dziś używa on o wiele bardziej finezyjnych i skrytych metod. Jest on tym bardziej niebezpieczny, że ma wielu sojuszników na kontynencie, których interesy są powiązane z interesami monopoli. To właśnie o bezpieczeństwo tych sojuszników, będących przekaźnikiem polityki imperialistycznej na tym kontynencie, troszczą się zachodnie mocarstwa, rozpowszechniając brednie o „sowiecko-kubańskim zagrożeniu" i wykorzystując je następnie jako pretekst do mieszania się w wewnętrzne sprawy państw afrykańskich. Siły te chciałyby zawrócić rewolucyjny proces w Angoli i Mozambiku, zahamować proces budownictwa społeczeństwa socjalistycznego w Etiopii, zdławić zbrojną walkę narodów południa kontynentu o wolność i niepodległość.

2.

Dlaczego tak bardzo niepokoi Zachód i jego sojuszników tzw. radziecko-kubańska obecność w Afryce? Odpowiedź jest prosta: obecność ta pomaga narodom afrykańskim w zrzuceniu kolonialnego jarzma, w decydowaniu o swoim losie, rozerwaniu pętli ekonomicznej zależności od tradycyjnych korperacji. Jest oczywiste, iż za mitem o „kubańskiej obecności" i „sowieckim wpływie", o których tak głośno szumią określone koła przy każdym kolejnym sukcesie ruchów wyzwoleńczych, kryje się dążenie do osłabienia pozycji postępowej Afryki i zapewnienie spokojnej „egzystencji" międzynarodowym monopolom. Postępowi działacze kontynentu afrykańskiego właśnie pod tym kątem rozpatrują dekolonizację południa Afryki, związaną nierozerwalnie z losami całego kontynentu, którego nie można uznać za wolny i niepodległy dopóty, dopóki na jego ziemi istnieją twierdze rasizmu i kolonializmu.

Jeszcze całkiem niedawno Zachód spokojnie przyjmował istnienie nielegalnego reżimu Smitha w Salisbury, otwarcie ignorował przestępstwa rasistów w Namibii, nie wykazywał najmniejszego zainteresowania dla losów uciskanej większości w RPA. Co więcej, mimo wszelkich decyzji, zaleceń i zakazów ONZ mocarstwa zachodnie otwarcie współpracowały z Rodezją i RPA i uczyniły wszystko dla umocnienia ekonomicznego i wojskowego potencjału reżimu w Pretorii, udostępniając rasistom w krytycznym dla nich momencie, tajemnice atomowe. I dopiero wtedy, gdy uciskana większość w tych krajach chwyciła za broń, gdy powstało realne zagrożenie dla interesów zachodniego kapitału, Zachód zaczął gorączkowo poszukiwać okrężnych dróg wiodących do uratowania swoich pozycji. I tak właśnie rozpoczęła się długa gra wokół Rodezji i Namibii, prowadzona wciąż pod hasłem „pokojowego uregulowania problemu".

3.

Główne kierunki zachodniej strategii w Południowej Afryce zarysowują się dziś zupełnie wyraźnie. W ogólnym planie, zarówno w stosunku do Namibii jak i do Rodezji, sprowadzają się one do prób zastąpienia rasistów „umiarkowanymi" liderami afrykańskimi. Zachód liczy na to, że z jednej strony stworzyłoby to wśród Afrykanów iluzję uzyskania niepodległości, zaś z drugiej strony niczego by to nie zmieniło w socjalnej i ekonomicznej strukturze tych państw, a przy tym umożliwiłoby zachowanie nietykalności pozycji zachodnich monopoli.

Największe niebezpieczeństwo dla neokolonialnych planów upatrują mocarstwa zachodnie w zbrojnej walce patriotów Namibii i Zimbabwe, głoszących radykalne programy przyszłej przebudowy swoich krajów. Dlatego właśnie zachodnie mocarstwa próbują za wszelką cenę stłumić zarzewie walki zbrojnej Afrykanów, używając do tego celu szerokiego wachlarza środków, od szantażu po próby rozbicia sił patriotycznych. W Rodezji taka właśnie polityka znalazła swój finał w zastąpieniu Smitha i powołaniu „mieszanego rządu", przy pozostawieniu realnej władzy w rękach białej mniejszości. Jednakże zachodnim politykom nie udało się osiągnąć głównego zamierzenia: utwierdzenia afrykańskiej ludności Zimbabwe w przekonaniu, że wreszcie uzyskała ona wolność.

Podobny wariant realizuje się w Namibii, gdzie mocarstwa zachodnie robią wszystko, żeby tylko odsunąć SWAPO od udziału w rozwiązywaniu problemu namibijskiego i przy pomocy RPA ustawić tam swoje marionetki. Poza tym mocarstwa zachodnie żarliwie nakłaniają rasistów do dokonania pewnych kosmetycznych zabiegów w samej Republice Południowej Afryki, żeby nadać reżimowi apartheidu bardziej „humanitarne oblicze".

4.

Dokonując tych dyplomatycznych manewrów Zachód nie przestaje liczyć na użycie siły, próbując zmusić państwa przyfrontowe do odrzucenia poparcia SWAPO i Patriotycznego Frontu Zimbabwe. Nie ulega wątpliwości, iż barbarzyńskie napady rasistów na Mozambik, Zambię, Angolę, Botswanę — są składową częścią polityki „bata i piernika", prowadzonej przez imperializm na południu kontynentu. Miliardowe inwestycje mocarstw zachodnich w Republice Południowej Afryki, w Namibii i Rodezji, setki amerykańskich i zachodnioeuropejskich kompanii, działających w tych krajach świadczą, że nie może być nawet mowy o bezstronnym podejściu Zachodu do kwestii dekolonizacji Południowej Afryki. Ale też nie jest w stanie powstrzymać rozwoju procesów rewolucyjnych, które ogarnęły południe kontynentu.

Dniem i nocą nie dają spokoju rasistowskiej soldatesce w Rodezji i Namibii zbrojne oddziały Patriotycznego Frontu Zimbabwe i Narodowej Organizacji Południowo-Zachodniej Afryki (SWAPO). W Rodezji siły wyzwoleńcze prowadzą działania bojowe na 80 proc. terytorium tego kraju. Wiosną tego roku partyzanci dokonali wypadu na magazyny broni i paliwa, położone na przedmieściu Salisbury. W Namibii do walki z partyzantami władze RPA musiały zaangażować siły liczące około 55 tysięcy żołnierzy oraz duże jednostki czołgów i lotnictwa. Ale walka z przeciwnikiem to tylko jedno z zadań stojących przed patriotami tych krajów. Drugie, niemniej ważne i odpowiedzialne, to budowa nowego życia na wyzwalanych terytoriach.

JERZY CZECH

Kapsztad. Rasiści RPA rozprawiają się z uczestnikami demonstracji w Tuguleto. *Foto: AP*

Z PRASY

Czy porozumienie SALT II będzie sprzyjać opracowywaniu i produkcji nowych rodzajów broni? Takie prowokacyjne pytanie zadają nierzadko ludzie, którzy, jak sami przyznają, są skłonni krytycznie oceniać problemy pokoju i rozbrojenia. Zresztą istnieją pewne podstawy do wyciągania takich wniosków, jeśli spojrzeć na sprawę z punktu widzenia czysto zewnętrznych symptomów rozwoju wydarzeń na arenie międzynarodowej. Na przykład po podpisaniu Tymczasowego Porozumienia SALT I, ówczesny minister obrony USA, Schlessinger, uważał za rzecz najpilniejszą rozbudowę flotylli bombowców strategicznych i rozwijanie nowych systemów broni, jak np. skrzydlatych rakiet, oraz produkcję dalszych - międzykontynentalnych rakiet balistycznych.

Wszystkie te kroki nie były objęte zakazem Tymczasowego Porozumienia SALT I i uważano je w USA za pewien rodzaj „kompensacji" wzamian za strefy objęte postanowieniami tego Porozumienia. Podobne tendencje obserwuje się obecnie. Prezydent USA dał już wytyczne w sprawie opracowania konstrukcji ruchomych rakiet MX, które uważa się za „broń pierwszego uderzenia", za środek napadu. Wydano już dyrektywę o produkcji poszczególnych elementów bomby neutronowej, która, jak zauważył zachodnioniemiecki generał Krause, na łamach dziennika „Vorwarts", także może być użyta do ataku. Dlatego też NATO chce bez zwłoki, jeszcze do końca tego roku, rozstrzygnąć kwestię produkcji nowych rakiet średniego zasięgu z głowicami jądrowymi.

I tak powstaje problem: co daje Porozumienie SALT II w dziedzinie ograniczenia zbrojeń, jeśli po jego podpisaniu prowadzi się badania w zakresie dalszych zbrojeń i, być może, przygotowuje się produkcję nowych rodzajów broni?

Odpowiedź brzmi: bardzo dużo. Ograniczenie zbrojeń — to nie rozbrojenie, a zaledwie krok w tym kierunku. Bez tego kroku nie byłoby w ogóle ruchu do przodu. Ograniczenie zbrojeń, a przede wszystkim zawarcie Porozumienia SALT II, świadczy o sytuacji przełomowej. Ów przełom jest nierozerwalnie związany z procesem przejścia do polityki pokojowego współistnienia i wskazuje na stopień jej dojrzałości. Inaczej nie można by się porozumieć w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Z drugiej strony porozumienie SALT II nadaje polityce odprężenia, wzajemnego zrozumienia i współpracy nowe ważne impulsy, umacnia międzynarodowe zaufanie i stwarza perspektywy dla dalszych inicjatyw w dziedzinie ograniczenia zbrojeń. Oczywiście, ograniczenie zbrojeń strategicznych nie rozwiązuje wszystkich problemów. Ponieważ właśnie na początkowym etapie, kiedy prowadzi się rozmowy tylko na temat niektórych aspektów wyścigu zbrojeń, istnieją możliwości odwrotów i uników. Przeciwnicy rozbrojenia mogą po prostu przeciągać rozmowy i w tym czasie w szybkim tempie rozwijać dalszą technologię zbrojeń. Jednakże proces ograniczenia zbrojeń wiąże im ręce i w niemałym stopniu ogranicza ich możliwości. Przeciwnicy rozbrojenia krytykują Porozumienie SALT II, obawiając się, że nadchodzi kres strategii osiągnięcia przewagi militarnej. I rzeczywiście, porozumienie SALT II stwarza o wiele więcej przeszkód w dążeniach tych amerykańskich polityków i działaczy, którzy żądają jednostronnych korzyści militarnych w wyścigu zbrojeń strategicznych niż Tymczasowe Porozumienie SALT I. Rozmowy o ograniczeniu zbrojeń nie przeszkadzają zbrojeniom w poszczególnych dziedzinach, ale, ograniczając je, tym samym rozszerzają pole działania zwolennikom okiełznania wyścigu zbrojeń, którzy żądają, na przykład, zawarcia porozumienia SALT III.

(s)

U PRZYJACIÓŁ

We wrześniu br. odbędzie się w stolicy Kraju Rad II Międzynarodowa Wystawa — Targi Książki. O przygotowaniach do tej imprezy i światowych kontaktach wydawców radzieckich mówi w wywiadzie dla TASS prezes Wszechzwiązkowej Agencji Prawa Autorskiego Borys Pankin:

— Udział w wystawie zapowiedziało już przeszło tysiąc przedstawicieli firm wydawniczych i księgarskich z Europy, Ameryki, Azji i Afryki. Tak więc już teraz można powiedzieć, że impreza ta będzie wszechstronnym przeglądem osiągnięć światowego ruchu wydawniczego, a zasięg jej będzie znacznie szerszy, niż to miało miejsce przed dwoma laty. Tak na przykład, o ile w pierwszej wystawie — targach uczestniczyły 73 firmy amerykańskie, to obecnie liczba ich przekroczyła 150, a nadchodzą i dalsze zgłoszenia. Hasło moskiewskiej wystawy „Książka w służbie pokoju i postępu" najlepiej określa szlachetne posłannictwo słowa drukowanego, odpowiadając w pełni duchowi wzajemnego zrozumienia i przyjaźni między narodami. Jak wykazuje praktyka — niezależnie od różnicy poglądów politycznych — wydawcy całego świata mogą prowadzić owocne rozmowy i rozwijać korzystne kontakty kulturalne.

Organizatorzy targów ze swej strony uczynią wszystko, ażeby umocnić i rozwinąć te konstruktywne zdobycze, które charakteryzowały pierwsze moskiewskie spotkanie ludzi związanych z powstawaniem i rozpowszechnianiem książki.

Trzeba podkreślić, że Związek Radziecki jest światowym liderem w zakresie edycji literatury przekładowej. Co roku ukazuje się tu około 3 tysięcy tytułów utworów pisarzy wszystkich kontynentów o łącznym nakładzie 122 milionów egzemplarzy. Wysoki jest również autorytet książki radzieckiej na międzynarodowej arenie. Zdobyła ona sobie ogromną popularność przede wszystkim w bratnich krajach socjalistycznych. Najcenniejsze osiągnięcia edytorskie ZSRR nasi przyjaciele traktują jako wspólne duchowe bogactwo; książki te niezwłocznie udostępniane są milionom czytelników. Rzecz oczywista, że w identyczny sposób przyswajane są przez nasz naród bogactwa kulturalne krajów wspólnoty socjalistycznej.

Inaczej przedstawia się problem rozpowszechniania literatury radzieckiej w krajach Zachodu. Wciąż należy przezwyciężać próby określonych kół „odgrodzenia" swoich czytelników od zetknięcia się z pierwoźródłami wiedzy o życiu narodu radzieckiego i jego osiągnięciami kulturalnymi. Oto znamienny przykład: w ciągu ostatnich trzech lat w ZSRR wydano 779 książek autorów amerykańskich w nakładzie 42 milionów egzemplarzy. W tym samym okresie w USA utworów pisarzy radzieckich opublikowano kilka razy mniej. Ale z prawdziwą satysfakcją odnotować należy efekty współpracy wydawniczej radziecko-francuskiej. Regularnie ukazują się we Francji przekłady dzieł klasyki rosyjskiej i radzieckiej. Tradycją jest już także zapoznawanie czytelnika radzieckiego z wielką literaturą francuską. W ciągu ostatnich trzech lat wydano w Związku Radzieckim ponad 420 utworów pisarzy francuskich w nakładach ponad 50 milionów egzemplarzy.

Wzrastające z roku na rok zainteresowanie literaturą radziecką za granicą jest odbiciem dążenia międzynarodowej społeczności bliższego zaznajomienia się z życiem narodu Kraju Rad, z polityką jego partii i państwa.

Drugie spotkanie wydawców w Moskwie stworzy nowy impuls dla szlachetnego procesu międzynarodowej wymiany dóbr kulturalnych. A program wystawy i połączonych z nią targów książki jest bogaty i różnorodny.

W związku z obchodzonym obecnie Międzynarodowym Rokiem Dziecka w czasie targów odbędzie się wielkie sympozjum — spotkanie wydawców literatury dziecięcej, a także pisarzy, kompozytorów i plastyków, zajmujących się twórczością dla najmłodszych. Nastąpi także otwarcie wydzielonej międzynarodowej ekspozycji: „Książki i dzieci". Wydawcy radzieccy zaprezentują także na II Międzynarodowej Wystawie — Targach Książki szereg interesujących publikacji, poświęconych zbliżającym się igrzyskom olimpijskim.

„Przez chwilę wyobraźmy sobie, że w życiu człowieka zabrakło muzyki. O ileż uboższy stałby się świat, pozbawiony tej pięknej, z niczym nieporównywalnej sztuki, pomagającej ludziom poznać się wzajemnie". Te słowa Dymitra Szostakowicza w sposób obrazowy i dobitny wyznaczają rolę muzyki w naszym dniu codziennym. Trudno przecenić jej znaczenie w harmonijnym kształtowaniu i wzbogacaniu wartości duchowych jednostki całego społeczeństwa.

Co wieczór w Związku Radzieckim zapalają się światła setek sal koncertowych, a tysiące słuchaczy spieszy na spotkanie z piękną i szlachetną sztuką muzyki — czytamy w artykule redakcyjnym „Sowietskiej Kultury". Ażeby jednak spotkania takie mogły się odbywać, niezbędna jest codzienna, nieustanna praca, związana z organizacją koncertów, przygotowaniem repertuaru, planowaniem występów w terenie. W ZSRR działają 162 biura koncertowe, a efektem ich niełatwej pracy jest bogate i różnorodne życie muzyczne. Jest ono szczególnie intensywne w okresie letnim, kiedy zapełniają się muzykami estrady w parkach i ogrodach. Ważną rolę w upowszechnianiu sztuki muzycznej spełniają w okresie wiosenno-letnim festiwale, z których m.in. ogromna popularność daleko poza granicami Związku Radzieckiego zdobyły sobie leningradzkie „Białe noce".

Ważnym odcinkiem działalności biur koncertowych jest obsługa ludności wiejskiej. W roku bieżącym przewiduje się zorganizowanie 170 tysięcy koncertów dla wsi.

Zapewnienie wszystkim mieszkańcom ZSRR — niezależnie od rejonu, w którym żyją — imprez muzycznych na wysokim poziomie wykonawczym — kontynuuje gazeta — jest przedmiotem szczególnej troski organów partyjnych i rządowych, a także organizacji społecznych i prasy. Problemowi temu poświęcona była niedawna narada w resorcie kultury. Postulowano przejście na nowe, bardziej precyzyjne zasady planowania które by umożliwiły jeszcze bardziej efektywne i racjonalne wykorzystywanie potencjału grup estradowych czy też zespołów orkiestrowych. Sprawą o znaczeniu bardzo istotnym jest dobór repertuaru, jak też układ poszczególnych programów.

Ale najbardziej nawet doskonała strona administracyjno-organizacyjna wszystkich biur koncertowych, a zmierzają do tego podjęte przedsięwzięcia, nie spełni swego zadania, jeśli nie będzie jej towarzyszyć stała troska o dobór wykonawców. W tym zakresie ogromna odpowiedzialność spoczywa na radach artystycznych tych biur.

WAKACJE U KONIEGO

ODCINEK III

WACŁAW BILIŃSKI

W pobliżu granicy z każdym kilometrem więcej było wojska. Nie na drodze, na której mijali chłopskie furmanki i czasem tylko jakieś patrole, lecz po wsiach, na podwórkach i wśród obejść. A także na polach przy ziemnych robotach W mijanych zaroślach okopywano dobrze zamaskowane stanowiska ogniowe artylerii. W dolinkach, wśród drzew zieleniały namioty. Dymiły kuchnie polowe. Pasły się tabuny koni strzeżone przez wozaków. Adam liczył spostrzeżone patrole telefoniczne, drucikarzy zawieszonych na słupach, mocujących przewody na drzewach. Po drugim tuzinie dał spokój: było ich za dużo.

Szosa stała się tak wyboista, jakby ją ktoś celowo zniszczył, tworząc w ten sposób ważny element polskich umocnień przygranicznych. Buick z szybkością piechura forsował te jamy, wyrwy, wykroty, ciągnął za sobą wysoką aż pod niebo chmurę pyłu. Proporczyk na błotniku przy takiej szybkości oklapł melancholijnie. Ostrzegawczo raz po raz stękały resory.

Znów zaczęły się kocie łby. Wjechali do jakiegoś niby-miasteczka, którego nazwy Adam nie zauważył. W amfiladzie chatynek zapadłych w ziemię, murów nadżartych przez czas i grzyb, wyskubanych strzech i zzieleniałych od mchu gontów, niemal pod koła ich samochodu wyskoczył młodziutki porucznik w bojowym rynsztunku, nawet w hełmie. Klon-Sawicki kazał zatrzymać wóz. Tamten zdyszany przejęty wykrzyczał swój stopień i nazwisko, i że melduje się na rozkaz. Pułkownik widocznie wiedział, że go czeka takie spotkanie.

— Niech pan prowadzi do sztabu — powiedział i wgniótł porucznika obok siebie, na przednim siedzeniu. Buick zapuścił się w labirynt chałup i ruder, rozpędził stadko gęsi, minął wypacykowaną odpustowo figurę świętego Floriana. Stanął przed dworkiem, jak z obrazka Rychter-Janowskiej, z ganeczkiem na drewnianych filarach i okienkiem na facjatce. Do filaru przybita była tablica głosząca, że domek mieści szkołę.

— Wysiadamy! — powiedział pułkownik.

Na progu witał go żylasty, niemłody major. Klon-Sawicki podał mu rękę.

— Gdzie on?

— Tak jak pan pułkownik rozkazał.

— Potrzebny nam będzie cichy pokój do rozmowy.

Major wprowadził ich w półmrok wyludnionego korytarza, z dwoma gońcami zamarłymi u drzwi. Szedł przodem. Był wysoki szeroki w barach i młodzieńczo wąski w biodrach. Ruchy miał nawykłe do musztry, niczym podoficer, który ćwiczy rekrutów. Przypominał Adamowi jego dowódcę kompanii z podchorążówki. W głębi korytarza wskazał zapraszającym gestem kancelarię szkoły. Pułkownik uczynił ledwo dostrzegalny gest. Zenek ułowił ten gest w lot i stanął u drzwi na warcie.

— Niech pan, panie majorze, poleci go przyprowadzić — powiedział pułkownik. — Będziemy rozmawiać z nim we dwójkę, ja i tłumacz, porucznik... eee... Kossowicz. Mam nadzieję, że ta sprawa nie nabrała zbędnego rozgłosu?

— Tak, jak pan pułkownik mi telefonicznie zlecił...

— Ilu ludzi wie o tym, co się zdarzyło?

Adam zauważył, że major objawia jakby tremę, że jest niepewny i zdenerwowany niczym uczeń wywołany do tablicy.

— Ilu ludzi miało z nim do czynienia? — dociekał podejrzliwie stary.

— Trzech z patrolu. Dowódca kompanii i jego zastępca. Ja. Szef sztabu pułku.

— Dużo... dużo... — zmartwił się pułkownik. — Gdzie go teraz trzymacie?

— W moim pokoju, na piętrze.

— No to czekamy.

I zamknął mu drzwi bez ceregieli przed nosem. A potem zasiadłszy za biurkiem, powiedział do Adama:

— Przygotujcie, poruczniku, przybory do pisania. Trzeba będzie protokołować... — i tonem przygnębionym, bez śladu radości z sukcesu. — Mamy Niemca...

— Niemca? — powtórzył Adam.

— Przeszedł w nocy granicę.

— Cywil?

— Żeby cywil! — westchnął przygnębiony Klon-Sawicki. — Żołnierz. Wehrmacht. Dezerter. Diabli nadali!

Niemiecki dezerter! Adamowi od razu na myśl przyszła niedawna rozmowa z kpt. Wolskim. Było to bodajże w połowie lipca, kapitan już nabrał zwyczaju takich rozmówek z Kossowiczem, ni to pogawędek, ni to swego rodzaju szkolenia. Zjawił się w pokoju nr 7 w samo południe podniecony, w świetnym humorze. Oznajmił, że zabiera Adama na obiad.

— Miałem dobrą noc — pochwalił się, gdy szli ulicą Narutowicza ku śródmieściu.

Wysoki, nieco pochylony, maszerował tak długim krokiem, że trudno było za nim nadążyć i chwilami coś pogwizdywał. Potem przy stoliku w najodleglejszym kącie pustego jeszcze o tej porze kasyna, zajadając ogromną porcję móżdżku po polsku (Adam na sam widok móżdżku zawsze dostawał mdłości) Wolski wdał się tego dnia w zawiły wywód. Ani słowa, jak zazwyczaj, że w Łodzi trudno o awans. Przeciwnie. Jakby z nadzieją w głosie: napływają z naszych jednostek ulokowanych nad granicą coraz dziwniejsze wieści, na przykład o masowej dezercji Niemców. Z naszych pułków. W mundurach, czasem nawet z bronią. Dla liniowych to inny problem. Raczej przykry. A dla nas to gratka. To powiedziawszy popatrzył triumfalnie i twarz jego wyjątkowo się rozpogodziła. Znów uśmiech, chwila znaczącego milczenia, które miało podkreślić efekt tych słów.

Potem: — Uff, przepadam za móżdżkiem po polsku. A jeszcze bardziej za smażonym w kokilkach. Nie lubi pan? Coś takiego! Wypijemy jeszcze po jednym? Co ja mówiłem? Aha, że dla nas to gratka. Bo widzi pan, poruczniku, można w tym tłumie przerzucić i naszych ludzi.

Łatwo to było zrozumieć. Łatwo było znaleźć takie sytuacje w historyjkach szpiegowskich z każdego ostatniego zeszytu „Co tydzień powieść".

— A czy Niemcy też dezerterują i przechodzą na naszą stronę?

— Raczej Polacy z nadgranicza wcieleni do Wehrmachtu — powiedział Wolski. — Ale ostatnio bardzo ich pilnują. Więc nie w mundurach. Zdarza się. Cywile. W mundurze nie mieliśmy takiego gościa od dawna.

— Tak — westchnął Adam. Wszystkie wiadomości o napięciu nad granicą bardzo go deprymowały. Spróbował jednak uśmiechnąć się. — No, ale wobec tego z pana punktu widzenia Niemcy nie mieli, nie mają takiej jak my okazji do podjęcia gry?

Wolski spojrzał uważnie na Adama i nagle stracił apetyt. Odsunął talerz, jednym łykiem dokończył piwo. Wytarł serwetą usta.

— My mamy inny czyrak na karku — powiedział z goryczą. — Emigranci! Z Niemiec ucieka moc ludzi. Tu w Łodzi jest ich kilkuset. Żydzi. Ale nie tylko. Różni tacy ponoć przeciwnicy Hitlera. A dla nas, dla mnie, każdy z nich to zagadka. Bo może to jakieś kukułcze jajo? Jakiś koń trojański? Niemal z zasady nawiązują szerokie, polityczne koneksje. Mają powiązania. Stosunki. Dojścia. Rozumie pan? Trudno ich dopilnować. Trudno nawet zachować ich w polu widzenia. A ja przecież wiem, wiem na pewno, że Abwehra podrzuca nam wśród nich niejednego agenta. Jak się bronić?

Wypił jeszcze kieliszek wódki i spojrzał na zegarek. Adam też popatrzył na zegarek i zastanowił się, czy musi dziś jeszcze wracać do pokoju nr 7. Machinalnie powtórzył za Wolskim:

— Właśnie, jak się bronić?

— Tyleśmy wykołatali u premiera, że poszedł nam na rękę i minister spraw wewnętrznych wydał starostom zarządzenie: osobników przekraczających nielegalnie granicę należy bezwzględnie odstawić na najbliższy punkt graniczny i przekazywać władzom kraju skąd pochodzą! Jeśli pan ciekaw, w naszej kancelarii ogólnej proszę zażądać poufnego pisma Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 27 kwietnia bieżącego roku.

— Czy to znaczy, że my uciekinierów zawracamy do Niemiec?

— A któż wie, kim jest naprawdę taki uciekinier? — powiedział ponuro kapitan Wolski. — Abwehra nie wykorzystałaby takiej okazji? Niestety, nie zawsze da się to zarządzenie respektować. Wystarczy, że taki gość nawiąże kontakty. I już są interwencje! Naciski!

Teraz, w tej nadgranicznej mieścinie miał Kossowicz osobiście zetknąć się z Niemcem, dezerterem. Mina pułkownika nie wróżyła niczego dobrego. W pokoju zrobiło się jakby ciemniej. Bił w nos zapach pyłu i stęchlizny. Adam przestraszył się: Śledztwo, wodzenie się od niższego do wyższego sztabu. To może potrwać! Na dalsze rozmyślania, nie stało czasu. Uchyliły się drzwi, zajrzał Zenek.

— Już jest — powiedział półgłosem.

— To go dawaj! — rozkazał pułkownik.

Do kancelarii wszedł Niemiec, wysoki, szczupły, ani młody, ani stary, w wybrudzonym mundurze polowym. Sam, bez żadnej eskorty. Był to pierwszy żołnierz Wehrmachtu, jakiego Kossowicz widział w życiu. Na obrazkach w tych leksykonach, słownikach i encyklopediach z pokoju nr 7, żołnierze Wehrmachtu wyglądali inaczej: byli bardziej wypucowani, strojni, niejako abstrakcyjni. Wyglądali prawie jak żołnierzyki z opowiadań o Dziadku do Orzechów. Albo z wycinanek, zabawki Adama z okresu dzieciństwa. A ten tu był dosłowny, rzeczywisty. I przez to bardziej jakby groźny. Chociaż tak sponiewierany, zabłocony i brudny.

Drzwi za Niemcem zamknął Zenek. Klon-Sawicki dźwignął się ciężko zza biurka. Burknął jakieś powitanie. Obszedł przyprowadzonego dookoła. Przypominał teraz — tak pomyślał Adam — Brysia, poczciwego starego kundla, na którego podwórko wlazł obcy pies. Niemiec, mimo brudnego munduru i nie ogolonego zarostu był typowym inteligentem, co się dostrzegało na pierwszy rzut oka. Takie wrażenie sprawiały jego okulary w stalowej, cienkiej oprawce, to one nadawały mu wygląd tak profesorski.

— Proszę siadać — powiedział zaskakująco grzecznie pułkownik. Mówił po niemiecku z wyraźnym, miłym i swojskim dla Adama akcentem wiedeńskim. I Kossowicz przypomniał sobie to, co słyszał o Starym.

— Proszę — powtórzył pułkownik. — Niech pan siada. Nazywam się Klon-Sawicki. Oberst Klon-Sawicki. Przyjechałem, bo życzył pan sobie mówić z kimś ze sztabu armii. Muszę pana formalnie przesłuchać.

— Tak jest — powiedział Niemiec.

Mówiąc sobie: ucz się, ucz się chłopie, tego nowego dla siebie zawodu, Adam starał się obserwować go uważnie. Uwagę jego przykuł szczegół w istocie dobrze przecież znany z ilustracji: na klamrze żołnierskiego pasa widniały czytelne słowa „Gott mit uns". I trzy te słowa teutońskiego zaklęcia, ich bluźnierczy sens, zawarta w nich groźba i kult siły wstrząsnęły Kossowiczem. Ten moment dał mu więcej niż wertowanie tygodniami wojowniczych prohitlerowskich piśmideł.

— Panie poruczniku, proszę protokołować — rozkazał Klon. Splótłszy swoje wielkie (w tym był podobny do Zenka) gruźlaste dłonie za plecami, krążył teraz po kancelarii, od szafy z tkwiącym na niej globusem, po okno strojne w gardenie. Przypominał teraz starego, kostycznego belfra.

Adam ze wstydem poczuł, że mu drżą ręce. Ze swej torby wyciągnął spiesznie brulion, ten, w którym nazbierał tyle szczegółów, gloss, przypisów do swej od tak dawna planowanej książki. Otworzył zeszyt na czystej stronicy.

— Gotów pan? — spytał niecierpliwie pułkownik.

— Tak jest.

— A więc zaczynamy — powiedział Klon. Dnia tego a tego, w empe sztabu takiego a takiego batalionu, takiego a takiego pułku ja... stopień i nazwisko... dokonałem przesłuchania...

Zatrzymał się teraz przed Niemcem, który wyprostowany i nastroszony siedział na prostym kuchennym zydlu przytaszczonym tu przez Zenka.

— Name, Vorname, Alter, Geburtsort, Abteilung, Dienstgrad. Wszystkie te pytania pułkownik zadał jednym tchem, przymykając oczy, jakby w natchnieniu odżywającej rutyny. Adam skrzypiąc wiecznym piórem w brulionie, przypominał sobie co mu o starym opowiadano: że zaczynał, były bojówkarz z 1905 roku, karierę wojskową w Krakowie, w HKS-telle, że potem rozkręcał POW, że był przez Niemców internowany, że wreszcie od rozbrojenia Szwabów, od powstań śląskich i konfliktów granicznych pierwszych lat, aż po dzień dzisiejszy zawsze bobrował w Dwójce na odcinku niemieckim. Spec.

Niemiec odpowiedział wyraźnie, akcentując dobitnie słowa, tak, jak się zazwyczaj porozumiewamy z kimś, kto może niezbyt dobrze rozumie nasz język. Siedział z rękami zaplecionymi na kolanach, ze wzrokiem wbitym w swe dłonie. Widać było, że jest bardzo zmęczony, i to nie na skutek wysiłku fizycznego. Czuło się jego niezmierne napięcie nerwowe, podniecenie, może lęk? Podał swe nazwisko. Usłyszawszy je Adam omal nie upuścił wiernego Pelikana. Aż Klon to zauważył.

— Co się stało? Czemu pan nie pisze?

— Nie dosłyszałem...

— Powtórzyć — rozkazał pułkownik. — Name. Vorname. I Niemiec powtórzył:

— Ernst Hochman.

Adam odetchnął głęboko. A już myślał, że taki traf! Wpisał to inne nazwisko w brulion poświęcony swemu ukochanemu Hoffmannowi.

Gdy skończył zapisywać dane personalne. — Zatem panie Hochman — powiedział pułkownik nie wymieniając stopnia wojskowego Niemca. — Może wyjaśni mi pan przesłanki, które sprawiły, że przekroczywszy granicę naszego państwa, zażądał pan rozmowy z przedstawicielem sztabu armii — trochę to było sformułowane sztywno. — Bo tak było, prawda?

— Tak — skinął głową Niemiec. — Tak było.

— Zatem, słucham pana.

Niemiec wyprostował się, poprawił okulary i powiedział monotonnym, zmęczonym głosem:

— Czy nie lepiej będzie, Herr Oberst, jeśli nie wgłębiając się w zagadnienie przesłanek, które wpłynęły na moją decyzję, co wymagałoby szerokiego omówienia, a sądzę, że brak na to teraz czasu, zatem, czy nie byłoby słuszniejsze powiedzieć wprost z czym przychodzę?

Klon popatrzył na Kossowicza, zmarszczył się, ta odpowiedź wyraźnie nie przypadła mu do gustu.

— Proszę, słucham — powiedział ze złością Klon.

Niemiec patrzył mu teraz prosto w oczy. Kossowiczowi zdało się, że dostrzegł jakby wahanie, cień może lęku przebiegający po twarzy intruza. Trwało to ledwie sekundę. Zaraz jednak powiedział twardo, sucho, rzeczowo:

— To co mam do zakomunikowania, posiada tak wielką wagę, że chciałbym mówić z panem, Herr Oberst, w cztery oczy...

Mimo, że można było przecież oczekiwać czegoś i zaskakującego, i groźnego, Adam poczuł jak wciąga go ta emocjonująca gra. Zaprzestał na chwilę protokołowania. Również i pułkownik utknął w miejscu, pochylony do przodu, znieruchomiały. Wyglądał jakby go miał za chwilę trafić atak apoplektyczny.

Tylko Hochman był spokojny i nieporuszony.

— Mensch! — stęknął wreszcie Klon. — Co ty mi tu opowiadasz?

— Czy mam powtórzyć? — spytał cicho Niemiec.

— Nie! — urwał Klon i wciągnął głęboko w płuca powietrze. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Potem nie odwracając się, zwrócony plecami do Adama, powiedział: — Panie poruczniku. Cóż, sam pan słyszał... Proszę nas zostawić samych.

Kossowicz zerwał się zza biurka, zgarnął brulion i torbę.

— I niech pan czeka za drzwiami. Może mi pan być w każdej chwili potrzebny — mruknął jeszcze stary. Kossowicz wyszedł z kancelarii na korytarz i oparł się plecami o framugę drzwi.

— No? — powiedział cicho Zenek warujący u tych drzwi. — Puści pan farbę?

— Człowieku! — westchnął tylko Adam i machnął ręką: — Sam nic nie wiem...

— Ale dobrze dla nas, czy źle?

— Człowieku! — powtórzył Adam i przysiadł na parapecie okna — Hochman! — roześmiał się. — Opowieści Hochmana!

— Od razu wiedziałem, że to będzie coś ekstra — orzekł Zenek z rezygnacją.

cdn.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

EWA FILIPCZUK

mój chłopiec odys

chłopiec odys przyjeżdżał tramwajem
z nową miłosną figurą płakałam
coraz rzadziej rozmawialiśmy

to było jak w życiu samotność
nie mogła się z nami rozstać

wieczorami w kuchni było zimno
mapy podarte szlak wędrówki splątany
nikt nie pisywał listów
(wszyscy myśleli że odys mieszka z kirke)

na dobre zalęgły się wiersze
i śniły nam się dzieci

któregoś dnia odys nie wrócił
odpływ morza
zabrał go na wyspę penelopy

zostały po nim listy pisywane nocą
bezsenność i nieprawda że był chłopiec odys
czuję że boli mnie tutaj nie nie tutaj nigdzie

* * *

podoba mi się to spojrzenie
które z zamglonej ślesz przeszłości
teraz na pewno żyję lepiej
bez nienawiści bez miłości

i już nie czekam nadaremnie
na jednej z ulic zapomnianych
nie boję się że ty bezsennie
noc spędzasz z inną ukochaną

piszę za listem list a potem
do rana piję w pustym barze
nigdy nie myślę o powrocie

i jestem na bezwietrznej wodzie
jak liść w pół drogi zatrzymany
nie tonę ani się nie wznoszę

* * *

nigdy nie przestanę cię kochać
mówię to do kogoś
kto nie istnieje był dawno
dom miejsce powrotów

nasze dziecko poczęło się i przepadło
nasze drugie dziecko odeszło w nicość
i tak dalej zawsze trzeba przed sobą tłumaczyć
dlaczego

czy jest bardziej bluźnierczy sposób mówienia prawdy
prawdy na uciechę tym
którzy przykładają ucho do drzwi
pytają dziwią się była miłość i nie ma

nigdy nie przestanę cię kochać
ale już cię nie kocham
nadeszło nigdy

KRYSTYNA KWIATKOWSKA

HYMN

Nocy,

nieznany ptaku na ulicy Wieczność,

Nocy,

która pozwalasz zapomnieć, że nie ma nadziei.
Nawet najtwardsi poeci
rozbijają się o mur słowa niedoskonałość.
Nadfiołkowa Rapsodio,
Bezsenna Sonato,
która duszom dajesz język, a słowom milczenie,
która przenosisz głosy umarłych i oddalonych,

Nocy,

moja matko, gdy zabraknie prawdziwej,
mój ojcze, gdy nie będzie innego ratunku,
kraju bez granic,
autostrado z Nnikąd do Nikąd,
przed którą płonie ciemne oko katastrofy,

Nocy,

która jesteś kością zgody i niezgody,
kiedy w rzeczach znajduję twe ciemne odbicie,

Nocy,

staje się światło.

* * *

W domach jałowych kobiet
i ekstrawaganckich rozmów

coś trzeba robić

słuchasz bajek o carach, hipisach, prezydentach,
wzdychasz: poeci odeszli,
obdarzeni na drogę w łagodne imiona

coś trzeba robić

bawisz się lalką i po pięciu minutach
masz już ogólną teorię
zabaw dziecięcych w wieku
dojrzałym

coś trzeba robić

MIROSŁAW KUŹNIAK

MOWA

Rut zatoczył się nad otwartą mogiłą.

Dobrzy ludzie z Miasteczka i ty, Żałobna Wdowo, którzyście zebrali się nad trumną tego nieboraka, aby mu oddać, za przeproszeniem, ostatnią posługę!

Choć do gadania żem nie zwyczajny, godzi się pożegnać tego oto leżącego słowem ludzkim, wspomnieniem ciepłym i łzą serdeczną, czego — jak widzę — wam nie brak, bo chlipać umieta, kiedy trza i nie trza.

Franek Janda to był dobry szewc, nie śmiejta się tam w rękawy, bo każdy wie swoje, a ja kamaszki przez niego zrobione przez pięć lat nosiłem, aż mi zbrzydło to plugastwo i w kąt rzuciłem. Pies mój, Aza, którego pewnikiem niejeden z młodziaków pamięta, zęby se na tych kamaszkach połamał, bo więcej było w nich drewna niż skóry. Miałem później do Jandy pretensje o te psine zęby, ale mi szelma świeć Panie nad Jego duszą, obiecał zrobić inne kamaszki, to i Jemu odpuściłem, jako nam odpuszczają. Tyle, że mi Franek nigdy obiecanych kamaszków nie zrobił, ale może to i lepiej, bo te pierwsze mocno mi zbrzydły.

Mówię wam, ludzie, że Franek Janda to był dobry szewc i zapamietajta to sobie dobrze, bo powtarzać nie będę i nie lubię.

Z Frankiem kolegowałem się od maleńkości, koszule my w zębach razem nosili i trawą tylki podcierali. Mógłbym o nim niejedno złe słowo powiedzieć, ale teraz nie trza, bo zebrali się tu wszyscy i ty, Żałobna Wdowo, którzyście go znali, więc nie będę nadaremno języka strzępić. A kto by go nie znał, to i może lepiej, bo Franek Janda to był dobry szewc, ale świnia jakich mało, choć przecie w naszym Miasteczku różnych huncwotów i wywłoków nie brakuje. A że niektóre nawet tu przylazły, święte miejsce splugawić, tfu, nad tą mogiłą popłakiwać, to nie ma w tym mojej winy. Kijem przepędzać nie będę, choć ta pewien jestem, że gdyby ten oto biedaczek wstał, poszłyby kije do roboty i niejeden wiałby z cmentarza, aż by się za nim kurzyło.

Nie bójta się, ludzie, nie wstanie ci on już, biedaczysko, jeno złożą go do tej zimnej mogiły i przykleją jak należy. Byle szybko, bo ludziom ode stania nogi zdrętwiały i w gardłach zaschło.

Znałem ci ja Franka Jandę od maleńkości, ale takie to tam było znanie. Stary Janda był to pierwszy fabrykant na okolicę, a mój ojciec, ech, szkoda gadać, za pomocnika na budowach robił, a zimą drwa po wsiach rąbał. Dawno mu się, biedaczysku, zmarło, że i wspominać nie trzeba. Leży ci on trzy alejki dalej, zapadł się grób, porosły go chwasty. Myślałem, żeby mu grób nowy sprawić, ale pieniędzy nie stało. A com uzbierał, to z Frankiem Jandą przepiliśmy...

Niedaleko leży także stary Janda, Adolf mu było po imieniu. Godnie i po pańsku leży, co każdy może zobaczyć na własne oczy. Płytę ma jak trza i krzyż z marmuru, tylko złotko z literek ktoś zeskrobał. Pazerne zrobiły się teraz ludziska, psiajuchy! Ale za to złotko nie was winię, bo zeskrobali je jeszcze przed wojną, co tu do naszego Miasteczka przyszła we Wrześniu.

A kiedy mu te litery malowali, to my z ojcem się zastanawiali, kto pierwszy je zdrapie. Ja, com nie bez grzechu, pierwszy szykowałem się do tego zdrapania, bo i tatko nie zabraniał. Ale ubiegł mnie jakiś huncwot, czego teraz nie będę mu wypominał, bo pewnikiem dawno już leży w grobie i przed Panem zdaje sprawozdanie ze wszystkich swoich grzechów. Niechta i o tym nie zapomni, bo mu z tego miejsca przypomnę...

Zdrapał ktoś litery i ani pomyślał, że zagrabia ostatnie bogactwo Adolfa Jandy. Tym młodziakom, co tu nie wiadomo po co przyszli, i ani miejsca, ani chwili nie chcą uszanować, furt się szturchają i pośmiechują, muszę wyjaśnić, że w naszym Miasteczku fabrykantów, tfu, na szczęście nie było. Pan Bóg ustrzegł nas przed tą zarazą, co rozeszła się jak robactwo po okolicy. A zwłaszcza upodobała sobie Powsinowo Białe, co dzisiaj jest ni psem ni wydrą, czyli miejsko-wiejskim zaprzańcem, któremu spod lakierków garść słomy wyłazi. Zjechało się tam do Powsinowa Białego Niemców i Żydów, jakby kto śledzi w beczce napchał. Każdy kawałek miejsca fabrykami pozastawiali, aż szczery Polak odetchnąć nie mógł. Był wśród nich Adolf Janda, tkacz z Pomorza. Musiał mu jeden diabeł w rozumie zamieszać, bo zamiast w Powsinowie Białym stanąć i fabrykę pobudować, w naszym Miasteczku został.

Adolf Janda bogactwa przywiózł. Po prawdzie było tego co kot bury napłacze, a więc stara Jandzicha z dzieciakiem na ręku i jedna maszyną, co miała zrobić dobry początek do Jandowego majątku.

Nie minął rok gdy stary Janda postawił dom, solidny, murowany, a w nim maszynę ustawił, która mu miała na tkalnię zapracować. Szczerze mówię, stary Janda to był oszczędny i pracowity chłop. Nie to, co Franek... Nie pobłogosławił mu jeno Pan Bóg w dzieciach, bo poza Frankiem nie miał już żadnego, choć Jandzina ochotna była do wszelakiej roboty i do zbytków także. Wkrótce chałupę dobudował i drugą maszynę kupił. Ludziska zaczęli mu się kłaniać niżej, gorliwiej czapkować, a stara Jandzicha poczęła ode syna gonić chłopaków, takich jak ja gołodupców. Myślę ja dzisiaj, że gdyby nie ganiała nas, to byśmy za żadne skarby nie chcieli z nim gadać, bo paskudny był, rudy i czerwony na gębie jak nie przymierzając krowi zad, czego mu w tej smutnej chwili wypominać nie będę, bo i bez tego wiedział, a jeśli by kiedy przepomniał, to mu ty, Żałobna Wdowo, przypomniałaś.

Bogacił się stary Janda na potęgę. Uczciwie się bogacił, czego nie o wszystkich dałoby się powiedzieć, choć przyszli tu wystrojeni jak na tańce, a przecie smutna to okoliczność i w stroju umiar jakowyś trzeba zachować.

Adolf Janda miał już pomocnika przy maszynie i kredyty u Żydów z Powsinowa Białego. Wszedł także w spółkę z fabrykantem Pietschem, który w Powsinowie mieszkał. Dawał mu Pietsch surowiec sprowadzany zza mórz i otaczał opieką. Stary Janda dorobiłby się w końcu tej fabryczki wymarzonej, gdyby kiedyś nie odezwał się w nim charakter paskudny, co go przed wszystkimi ukrywał. Znałem ci ja Jandowego syna, Franka, któregośmy nie zdążyli jeszcze pogrześć, to i o starym Jandzie mam swoje wyobrażenie. Nic złego to ja o Franku nie powiem, ale wy, którzyście go znali, i ty, Żałobna Wdowo, uczciwie możecie powiedzieć, że drugiego takiego sukinsyna ze świecą trzeba szukać.

Zresztą co jest winien ten nieboraczek, to biedaczysko, którego grzeszne ciało złożymy za chwilę do zimnego grobu. Co winien? Nawet już nie przepomnę, ile on mnie jest winien... Mawiał zwykle, gdyśmy z gospody wychodzili odetchnąć świeżym powietrzem: „Mordę obiję tej sekutnicy, która mi grosza skąpi, a wszystkie pieniądze zabiera!" A i zdarzało się, że nie czekając szliśmy do jego chałupy, gdzie od razu dopełniało się przyrzeczenie Franka. A potem znowu szliśmy pić, bo nic tak chłopa nie uspokaja, jak przetrzepanie babskiej skóry.

Ciężką rękę miał Franek, przywykłą do dratwy i młotka. Nie cięższą jednak od starego Jandy. Ten ci jak uderzył, tydzień musiało boleć... Przekonał się o tym fabrykant Pietsch, gdy odmówił Jandzie surowca. Różnie się o tym w Miasteczku gadało. Pietsch miał żonę młodą, gorącą, co tylko za chłopami oczami wodziła. Powiadali ludziska, że mu się ta żonusia puściła ze starym Jandą. Nie wiadomo, ile w tym było prawdy. Znałem ci ja Jandowego syna i powiadam wobec was i ciebie, Żałobna Wdowo, możliwe to jest, zaprawdę możliwe! Wdał się Franek w swojego starego jak ogier w ogiera. Nie będę mu w tej smutnej chwili wypominał tych bab, za którymi latał po łąkach. Nie będę mu, biedaczkowi, wypominał tej młódki, co ją przyprowadził do swojej chałupy, wyrzucając z niej ciebie, Żałobna Wdowo. Nie będę mu wypominał tej i owej baby, którą rozłożył w swoim łajdackim życiu, bo chwila nieodpowiednia i każda z was, jak tu stoicie, swoje wie: gdzie, jak i z kim.

Ale mu swojej baby nie przypomnę, choć brzydka była jak siedem nieszczęść i dzisiaj współczuć jeno mogę, że na nią poleciał. Ale widać taki był jego skurwysyński charakter, że żadnej nie przepuścił, choćby i najbrzydszej, nie obrażając was wszystkich i ciebie, Żałobna Wdowo.

Adolf Janda musiał w końcu sprzedać swoje maszyny. Najpierw chodził po okolicznych fabrykach i żebrał o surowiec, ale Pietsch pamiętliwy był i swoich łajdackich kolegów fabrykantów uprzedził. Był taki czas, że stary Janda myślał o sprzedaniu domu i wyprowadzeniu się z Miasteczka, co może lepiej by było, bo byśmy dzisiaj nie sterczeli nad mogiłą Jandowego syna o głodzie i chłodzie, z zaschniętym gardłem.

Nie wyprowadził się, tylko zaczął handlować końmi w okolicznych wsiach. Handlarz końmi! On, który marzył o własnej fabryce! Czy można upaść niżej? Nie można! Mówię to wam ja, który znałem Jandowego syna, tego skurwiela, pijaka i dziwkarza, o którym mówiliście, że stoczył się na dno ludzkiego, sobaczego życia. Nie można! Nie dziwta się więc ludzie, że z tego upadku zakręciło się we łbie staremu Jandzie, pomieszało prawdę ze zmyśleniem, jak plewy z ziarnem. Adolf Janda zaczął wszem i wobec opowiadać o tej fabryczce wymarzonej, jakby ona stała, jakby była.

Tak rósł Franek Janda. Niewesołe było jego dzieciństwo, ale myślę, że każdemu Pan Bóg daje według zasług i odbiera także. Widać chciał dobry Bóg ukarać Franka za podły charakter, za te świństwa, które miał zrobić i zrobił, czego my wszyscy jesteśmy świadkami i ty, Żałobna Wdowo, także. Odebrał sprawiedliwy Bóg Frankowi wymarzoną fabryczkę, a dołożył pragnień i ambicji nad miarę. Bo wbił mu stary Janda tę fabryczkę w głowę. Tak ci o swoim marzeniu gadał, że i Franek uwierzył w tę wielką murowaną fabrykę, co miała stanąć przy ich domu. A gdy mu lat zaczęło przybywać, to i tej fabryki przybywało, że już w końcu przerosła marzenia starego Jandy i wciąż się wznosiła, het, nad kościół, co go widać w oddali, bo ludzie pazerni są na wszystko, na marzenia także.

A kiedy stary Janda oddał Franka do terminu, do szewca, to te marzenia jeszcze bardziej urosły, bo miał teraz Franek czas na myślenie i na marzenie. Czy można z pociągła dorobić się fabryczki, choćby małej, mniejszej niż pragnienia? Nie można! Mówię to wam ja, który znałem Franka lepiej niż wy. Nie można dorobić się niczego, nawet miejsca godziwego na cmentarzu, którego — gdyby nie władza miejska i dobry Pan Bóg — nie wystarczyłoby dla Franka. Musiałby, biedaczysko, gnić gdzieś pod płotem, bez tych mów i łez, których mu nie szczędzicie, choć dziwię się, że ktoś po Franku Jandzie chce płakać.

Franek Janda to był dobry chłop. Mówię wam to ja, który go znałem, wobec was i ciebie, Żałobna Wdowo, którzyście śmiali się z niego, a nawet szturchali go, gdy leżał pod płotem, choć w domu czekało na niego łóżko ciepłe i strawa gorąca. Franek Janda nie sprzedał przecież swojego domu. Nie sprzedał, bo wciąż wierzył, że powrócą do niego sprzedane przez ojca maszyny. Bo to nie naprosiłem się Franka o sprzedanie tego domu? Dzieci nie masz, komu go zostawisz? — gadałem mu nie raz, nie dwa. Nie sprzedał mi, a przecież po co mu był taki duży, porządny dom? Ja ci, Franuś, nie wypominam, żeś gorzałę chlał za moje grosze, żeś mi babę znieprawił, Pan Bóg z tobą, Franuś, ale tego domu nie daruję. Wobec wszystkich i ciebie, Żałobna Wdowo, mówię, że nie daruję. Zawsześ był sukinsyn i takim pozostałeś! W oczy ci to powiem, gdy t a m się spotkamy.

Śmiałem się z tego twojego fabrykanctwa i dzisiaj śmieję, tak jak wy wszyscy i ty, Żałobna Wdowo, którzyście przyszli oddać, za przeproszeniem, Frankowi Jandzie ostatnią posługę.

Czy widział kto szewca, który by marzył o swojej fabryce? Jeśliście nie widzieli, to spójrzcie tam na niego, co leży w cichej trumnie z tą swoją głupią, czerwoną gębą. Oto Franuś Janda, który chciał młotkiem i pocieglem zarobić na prawdziwą fabrykę. Szukałeś ty, Franuś, okazji do wzbogacenia się. Oj, szukałeś! Nawet dzieciaków nie dorobiłeś się z tej chciwości. No i na co ci przyszło? Na co? Ledwieś zebrał trochę grosza, trach! przyszła wojna. Przez sześć długich lat czekałeś chwili, kiedy wreszcie hitlerowców trafi szlag. No i doczekałeś się! A potem przyszła wolność i powiedziano ci, że już nie będzie Pietschów, fabryk na własność i takich jak ty, pożal się Panie Boże, fabrykantów. Ale ty nic, zaciąłeś się i chciałeś przeczekać. I domu nie chciałeś sprzedać, choć cię prosiłem, bo nie miałem gdzie podziać się z dzieciskami. Nie chciałeś! Dalej klepałeś te swoje kamaszki i czekałeś.

Doczekałeś się, Franuś, doczekałeś! Przyszli do ciebie jacyś ludzie i powiedzieli, że musisz wyprowadzić się z domu, bo będą na tym miejscu fabrykę budować. No i co Franuś? Zakpiono z ciebie, roześmiano ci się w gębę. Chciałeś fabryki, to ją masz! Nie potrzebujesz nawet palcem kiwnąć, ona sama do ciebie przyszła!

A ty co, Franek? Ucieszyłeś się jak należy? Tyś tym ludziom nic nie odpowiedział, jenoś drzwi zaparł i okna zatrzasnął. To już my myśleli, Franek, że ciebie będą siłą z tej chałupy wyprowadzać. I czekaliśmy ze zdumieniem, ze zgrozą i uciechą tajoną, bo ludzie czują pokrętnie, gdy z bliźnim dzieje się coś niezwyczajnego, o czym możecie zaświadczyć wy wszyscy i ty, Żałobna Wdowo, którzyście przyszli Frankowi Jandzie oddać, za przeproszeniem, ostatnią posługę.

No i nie doczekaliśmy się, boś stchórzył i jak ostatni śmierdziel obwiesiłeś się w nocy na pasku w największym pokoju, tam, gdzie dawniej stary Janda trzymał swoje maszyny. I tego ci, Franuś, nie mogę wybaczyć. Mówię ci to po koleżeńsku. Gdy żyłeś, gdy patrzyłem na tę twoją głupią, czerwoną gębę, myślałem, żeś ty sukinsyn i dziwkarz, ale nie tchórz, co się swojego marzenia przestraszy.

Tak ja ci darowałem i tę babę moją znieprawioną, i ten dom nawet, któregoś nie chciał mi sprzedać ale tej wiary, com miał w ciebie, nie daruję. I tyle ci, Franuś, powiem nad grobem. Amen.

Oniemiała dotąd Jandowa dopiero teraz oprzytomniała i jak nie wrzaśnie:

— A poszoł won pijaku!

MAM POMYSŁ

Nie, nie mam zamiaru pisać o audycji telewizyjnej pod takim atrakcyjnym tytułem. Przeniesiona na marginesy programu drugiego dożywa swoich dni kontynuując sukcesy poznawcze i ekonomiczne. Mnie jakoś nie udaje się ostatnio na nią natrafić. Pewnie i dlatego, iż interesują mnie pomysły innego rodzaju. Jeden z nich, z inspiracji telewizji (lojalnie przyznaję) zrodził się podczas ostatniego tygodnia. Ponieważ uważam ten pomysł za co najmniej dobry, chciałbym go niniejszym TVP do „wdrożenia" przekazać. Otóż „Radio i Telewizja", wysłużony acz nie zasługujący na pochwały tygodnik opatruje swoje lakoniczne zapowiedzi następującą klauzulą: „Polskie Radio i Telewizja Polska zastrzegają sobie możliwość zmian w programie". Proponuję niewielkie uzupełnienie: „bez obowiązku podawania przyczyn i przepraszania telewidzów". Nowelizacja taka będzie zgodna z duchem rozmaitych asekuracji do których przyzwyczaił nas np. handel i które zniechęciły nas skutecznie do rozpisywania się w książkach zażaleń oraz do zbierania podpisów pod petycjami komitetów blokowych. Jest odpowiedni przepis i koniec. Gdyby już wcześniej dodano tych kilka słów do cytowanego zastrzeżenia nie byłoby i tego felietonu. A tak, niestety, został napisany.

Pora na odsłonięcie genezy mojego pomysłu. Onegdaj TVP przedstawiła pierwszą część widowiska historycznego Bohdana Urbankowskiego i Grzegorza Królikiewicza „Idea i miecz". Już ta pierwsza część zapowiadała dzieło, którego myśl i wartości realizacyjne należą do rzadkich (ostatnio) wydarzeń telewizyjnego ekranu. Z tym większym zainteresowaniem wysłuchaliśmy informacji o kolejnych terminach emisji II i III części (16 i 23 sierpnia). I co? Właśnie ta zastrzeżona zmiana. Albo raczej wymiana. Cykl pozostał ten sam: „Premiera w dwójce". Ale zamiast oczekiwanej II części widowiska wyświetlono film. Jugosłowiański. Dla starszych dzieci. O 21,25. Bez słowa wyjaśnienia. Nie pierwszy to przypadek i, zapewne, nie ostatni. „Idea i miecz" to casus szczególny, bo — jak wynika z wywiadu reżysera udzielonego „Polsce" — jest widowiskiem o określonym porządku i strukturze. Przesuwanie (?) prezentacji kolejnych części w czasie spowoduje określone zakłócenia odbioru. Przecież nie jest to widowisko serialem w rodzaju „07 zgłoś się". Znak zapytania, który pojawił się dwa zdania wstecz, to wynik lektury zapowiedzi programowych na bieżący tydzień. Proszę sprawdzić.

Aby ukoić, w ów nieudany czwartek, nerwy przełączyłem telewizor na program pierwszy. Właśnie Janusz Peciak biegł po srebrny medal. Nawet po złoty. Ale zabrakło 6 sekund. Musieliśmy się zadowolić wicemistrzostwem. Wygrali Amerykanie, co zostało uznane przez komentatorów naszej tv za absolutną sensację. A przecież od samego początku właśnie zawodnicy USA byli w czołówce, wygrali pływanie, wygrali cross, to i wygrali cały pięciobój. ŁKS wygrał w Chorzowie. Też sensacja. Okker pokonał Villasa. Również sensacja. Panowie z redakcji sportowej, to sport, a nie wybory do samorządu blokowego! Na koniec transmisji z Węgier można było usłyszeć taki oto komplement pod adresem Peciaka: „nawet gdyby leżał w trumnie, na propozycję kolejnego startu ożyłby". Ileż w tych słowach reporterskiej finezji!

A poza tym? Chciałoby się napisać — „W domu wszyscy zdrowi" — taki ten tydzień w tv był ciekawy. Wprawdzie Jerzy Wunderlich rozebrany do slipek zanurzał się w klatce wypełnionej wodą, ale to był jedyny bodaj eksperyment redakcyjny ostatniego tygodnia. Mówiąc poważnie, ta edycja „Kliniki zdrowego człowieka", była rzeczywiście konkretna, bogata w informacje i pomysłowo skonstruowana. Ponieważ otyłość mi nie grozi, zainteresowałem się programem drugim. A tam akurat magazyn „Dom i my". Jerzy Wunderlich z profesorem-ekspertem w „Klinice" radzili — jak jeść (a raczej jak nie jeść) aby nie utyć: więc mało mięsa, wcale masła, broń Boże ciastka etc., natomiast redaktorzy „Domu" na odwrót: zapraszali do suto zastawionych stołów. Mało tego. Jedli nawet przed kamerami filety z morszczuka duszonego z jarzynami w kostce masła! Nie muszę dodawać, iż ten drugi program bardziej mi trafiał do przekonania. Na deser proponowano pierniki polewane miodem...

I taka była osłoda ostatniego tygodnia przed telewizorem, który to czas upłynął znowu w irytacji i znużeniu. Z jednym wyjątkiem. Muszę oddać sprawiedliwość redakcji Jacka Fuksiewicza. Tym wyjątkiem był film (jakżeby inaczej!) zrealizowany według prozy Wasilija Szukszyna „Wezwij mnie w świetlistą dal". szorstka, humanitarna i szczera historia o samotności, potrzebie uczuć i życiu prawdziwym. Bez szybkich samochodów, rozterek wziętego artysty, napuszonych dialogów i pseudodramatycznych point. Takich fabuł oglądamy wiele, również rodzimej produkcji. Szukszynowski film przekazał nam wzruszenia, na które w sztuce oczekujemy. Także w tej, którą przekazuje nam mały ekran.

GRZEGORZ GAZDA

DEBIUT ZNACZĄCY

Debiut prozatorski Mariana Miszalskiego przeszedł prawie niezauważony, co dowodzi, że nasza krytyka stała się, jak Temida ślepa, choć niekoniecznie sprawiedliwa. Mikropowieść pod znaczącym tytułem „Równowaga chwiejna" stanowi bowiem na tle falstartów młodej literatury pozycję ważką, a nawet czy nie najważniejszą w ostatnim sezonie. Decyduje o tym nie tylko finezja warsztatowa, świadome i rzeczywiście funkcjonalne spożytkowanie techniki collage'u, ale ambicje intelektualne powieści, bowiem Miszalskiego interesuje problem odpowiedzialności sztuki za poczynania jej odbiorców, a przede wszystkim granice tej odpowiedzialności.

Zręcznie imitując język i stylistykę prasy — od popołudniówek, po ambitne miesięczniki specjalistyczne — Miszalski rysuje nam postać wyrafinowanego literata Gerarda Wenzla, który będąc przedmiotem niewybrednych ataków dziennikarskich zostaje wreszcie postawiony w stan oskarżenia i skazany na... popełnienie samobójstwa, jako zadośćuczynienia za rzekomy nihilizm, którym miały być przepełnione jego książki. Myliłby się jednak bardzo, kto by sądził, że autor oskarża w osobie Wenzla kulturę czyniąc ją odpowiedzialną za wszelkie zło na świecie. Parodiując oskarżenie („Jeśli Wenzel myślą okrada ludzkość z życia — podniesie na procesie jego obrońca — to zabijając Wenzla ludzkość okrada się z myśli") Miszalski demaskuje w gruncie rzeczy nie nihilizm kultury, tylko procesy kształtujące jakim poddawana jest świadomość zbiorowa.

A wszystko zaczyna się od krótkiej wiadomości w „Kronice wypadków" „Gazety Miejskiej": „Godzina 5.30. W mieszkaniu przy ul. Szarży 3, popełnił samobójstwo 24-letni Krzysztof B. Zwłoki przewieziono do miejskiej kostnicy".

Ta banalna informacja, zagubiona pośród dziesiątków równie pospolitych nowin, ulegnie stopniowo przybliżeniu i powiększeniu. Miszalskiego nie zadowala sama technika collage'u przy pomocy której można ukazać procesy społeczne w jakimś stanie już wyraźnie określonym, jeśli nie zakrzepłym. Sięga więc jednocześnie do techniki dużo starszej znanej w naszej literaturze, jako „bajka łańcuszkowa", która sprowadza się do stopniowania złych nowin. Ten sposób narracji, równie z pozoru chłodny, pozwala na precyzyjne dawkowanie podskórnego napięcia. Przede wszystkim jednak umożliwia ukazanie stanu „równowagi chwiejnej", jaka znamionuje procesy społeczne, gdzie zawsze łatwo o zniweczenie układu.

Przy tym rzecz ciekawa: Miszalski nie tylko ukazuje proces kształtowania świadomością zbiorową przy pomocy środków masowej komunikacji, ale, nie rezygnując z imitacji żargonu dziennikarskiego, wciąga do tego kształtowania czytelnika, który gładko połyka przynętę. Dopiero na samym końcu przychodzi otrzeźwienie, a niesie je humanistyczne przesłanie książki Miszalskiego, który pyta od niechcenia: „Bo czyż opowiadać o tym, jak facet pośliznął się na skórce banana nie znaczy — opowiadać o powstaniu słońca, o tajemniczym instynkcie węgorzy, o miłości, o białku z kryla, o Jasiu Wędrowniczku, o życiu i o śmierci godnej?....".

Narzekamy często, że współczesna proza pozbawiona jest ambicji intelektualnych. Książce Miszalskiego nie można postawić takiego zarzutu. Pytania, które stawia przy okazji wydają mi się ważkie i aż dziwne u debiutanta, który udowodnił tym samym, że jego próba jest od razu dokonaniem.

KONRAD FREJDLICH

Marian Miszalski: „Równowaga chwiejna", Wydawnictwo Łódzkie 1978, str. 181.

Z DZIEJÓW POLSKIEJ KARCZMY

Któż z nas nie był choć raz w restauracji czy kawiarni, któż z nas współczesnych nie zna jadłodajni czy stołówki lub nie wie, co oznacza słowo hotel. Lokale te są tak bardzo związane z naszą egzystencją, że obecnie nie wyobrażamy sobie życia bez nich. Podobnie było i w przeszłości. Karczma i szynk, a w późniejszym okresie restauracja i kawiarnia, stanowiły stały element w życiu przeciętnego człowieka w Polsce i poza jej granicami. Tu bardzo często poruszano i dyskutowano aktualne problemy polityczne, tu też niekiedy wybierano delegatów danych ziem na sejmy i sejmiki ówczesnej Rzeczypospolitej, tu też odbywały się różnego rodzaju uroczystości rodzinne.

Z tego też względu znaczenie tych lokali było o wiele poważniejsze niż obecnie. Przede wszystkim odnosi się to do mniejszych miast i miasteczek i wsi, aniżeli do dużych ośrodków miejskich, gdzie tego typu miejsc było o wiele więcej niż w tych pierwszych. Niemniej i w tych ostatnich rola ich była i tak dosyć poważna.

W okresie polskiego Oświecenia, w dobie Sejmu Wielkiego lokale te nierzadko miały charakter polityczny, kiedy to poprzez uczęszczanie do danego z nich i konsumowanie wybranych potraw i napojów deklarowało się swoje poglądy polityczne i przynależność lub sympatie do danej orientacji politycznej. W okresie późniejszym rola i znaczenie lokali gastronomicznych znacznie upada i stają się one, gdzieś od końca ubiegłego stulecia miejscem nastawionym przede wszystkim na konsumpcję alkoholu, a co za tym idzie służyły rozpijaniu okolicznej ludności.

Można bez dużej przesady powiedzieć, że pierwsze lokale gastronomiczne pojawiły się wraz z powstaniem cywilizacji. Spotykamy się z nimi w starożytności. W Polsce wspomina o nich już w pisanej w XII wieku kronice Gall Anonim. Była więc karczma nierozerwalnie związana z życiem publicznym ówczesnych lat. Przecież trudno sobie wyobrazić powieść historyczną bez scen rozgrywających się w karczmie czy zajeździe. Był to stały punkt twórczości historycznej Sienkiewicza i Kraszewskiego, Żeromskiego i Reymonta. Dobrze więc stało się, że ten jakże frapujący, a zarazem nieznany problem stał się tematem najnowszej książki Bohdana Baranowskiego „Polska karczma, restauracja, kawiarnia", wydanej przez Ossolineum w cyklu „Polskie Rzemiosło i Polski Przemysł".

Książka ta obejmuje historię lokali gastronomicznych, na ziemiach polskich, począwszy od średniowiecznych tabern, których początku doszukiwać możemy się już przed X stuleciem, a skończywszy na „cieniach i blaskach" gastronomii współczesnej. Autor nie pomija również sprawy domów zajezdnych, które nierozerwalnie łączyły się z pierwszym problemem. Dopiero okres końca XVIII stulecia przynosi w tym względzie zmiany, kiedy to zaczynają powstawać lokale, które głównie nastawione są na udzielanie noclegów i przyjmują z francuskiego miano hoteli.

W pracy tej B. Baranowski przytacza wiele przykładów z zakresu architektury i funkcjonowania tego typu obiektów, ich związków z życiem ludności, ich roli na terenie, w którym się znajdowały. Podbudowuje swoje wywody wieloma danymi liczbowymi, poprzez które czytelnik może uświadomić sobie znaczenie, jakie posiadały tego typu obiekty w przeszłości. Przykładem niech służy liczba lokali gastronomicznych w Warszawie w roku 1792, kiedy to na 120 tysięcy stałej i niestałej ludności stolicy przypadało około 1800 różnych punktów gastronomicznych. Liczba nawet jak na obecne czasy bardzo wysoka. Autor wymienia w swej pracy kilkanaście typów lokali gastronomicznych występujących na ziemiach polskich i daje ich dosyć szczegółową charakterystykę. Czytelnik dowie się jaka była różnica między karczmą, a szynkiem czy gospodą, zajazdem lub hotelem, a także między wieloma jeszcze innymi typami występującymi w ówczesnej gastronomii. Ciekawym rozwiązaniem jest umieszczenie w książce około dwustu rycin, które w doskonały sposób uzupełniają wywody autora.

Chciałbym na zakończenie polecić wszystkim, których interesuje historia, a przede wszystkim jej strona obyczajowa tę bardzo interesującą książkę, która stanowi jak dotychczas jedno z bardzo nielicznych opracowań na temat historii polskiej gastronomii.

MARIUSZ KULESZA

B. Baranowski, „Polska karczma, restauracja, kawiarnia", Wrocław 1979, s. 137+ryciny, cena 95 zł.

OPOWIADANIA

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się zbiór najwybitniejszych opowiadań Friedricha Dürrenmatta słynnego dramaturga i prozaika szwajcarskiego. Friedrich Dürrenmatt, urodzony w 1921 r. odznaczony został w roku 1960 Wielką Nagrodą Szwajcarskiej Fundacji im. Schillera. Sztuki jego obiegają wszystkie niemal sceny europejskie i należą do najczęściej wystawianych. Polscy widzowie mieli okazje niejednokrotnie je oglądać. W roku ubiegłym wystawiono w naszym mieście, w Teatrze Nowym, w reżyserii Kazimierza Dejmka „Zwłoki".

Prezentowany tom zawiera cztery opowiadania Dürrenmatta w przekładzie Kazimiery Iłłakowiczówny, Zofii Rybickiej, Teresy Jętkiewicz i Marii Gero-Rożniewicz. Każde z tych opowiadań ma inny charakter. „Obietnica" posiada fabułę i konstrukcję kryminalną. Z opowiadaniem tym wiąże się cała historia. W roku 1957 zamówiono u Dürrenmatta nowelę filmową na temat zbrodni seksualnych popełnianych na dzieciach. Nowela została napisana. Następnie przerobiona na scenariusz. W kilka lat później Dürrenmatt wziął na warsztat po raz drugi ten sam temat i stąd opowiadanie „Obietnica". Opowiadanie „Grek szuka Greczynki" jest, jak określa sam autor, „komedią napisaną prozą". Tak więc każde z nich ma inny charakter i inną konstrukcję. Wszystkie jednak łączy znakomity warsztat pisarski Dürrenmatta i jego głęboka znajomość psychiki człowieka.

Friedrich Dürrenmatt, „Obietnica", „Kraksa", „Kat i jego sędzia", „Grek szuka Greczynki", PIW, W-wa 1979, str. 413,

POGMATWANE DROGI

Niedawno, nakładem MON, ukazało się drugie wydanie, poprawione i poszerzone, „Pogmatwanych dróg" Ryszarda Hajduka. Autor, związany z Opolszczyzną, działacz społeczny i polityczny, eseista, autor licznych książek publicystycznych, poświęconych przeważnie przeszłości i teraźniejszości Śląska Opolskiego, tradycjom walk o polskość na tych ziemiach, a także problematyce niemieckiej. Odznaczony został za swoją twórczość nagrodą im. Juliana Bruna (1953 rok) i im. Bolsława Prusa (1974). Był również inicjatorem i redaktorem „Pamiętników Opolan" wyróżnionych Nagrodą Państwową w 1955 roku.

W prezentowanej książce Ryszard Hajduk omawia dzieje młodzieży opolskiej przymusowo wcielonej do Wehrmachtu. Autor śledzi ich losy, zawiłe i tragiczne, przytacza wojenne życiorysy wychowanków Polskiego Gimnazjum w Bytomiu, działaczy Orła Białego i Olimpu, a także tysięcy innych nieznanych młodych Ślązaków, dla których mundur niemiecki był hańbą i największym okrucieństwem, jakie dla synów i wnuków powstańców śląskich zgotował hitlerowski okupant.

Hajduk śledzi działalność polityczną i społeczną tych ludzi przed wojną, ich losy wojenne, a także, w skrócie, przy niektórych nazwiskach przytacza powojenne dzieje.

Ryszard Hajduk, „Pogmatwane drogi", Wyd. MON, W-wa 1979, str. 324, cena zł 35.—

IGRANIE Z NOCĄ, BITWA O TULUZĘ

Jose Cabanis ur. w 1922 r. pisarz francuski jest autorem realistycznych powieści psychologicznych pokazujących precyzyjnie ironiczną i głęboko ludzką wizję współczesnego świata. Urodzony w Tuluzie, gdzie przez wiele lat pracował jako adwokat, wprowadza do swoich utworów realia związane z rejonem południowo-zachodniej Francji — pejzaż, historię, koloryt lokalny, które z ogromnym umiłowaniem opisuje. Jego proza nasycona jest poezją.

Na przestrzeni lat 1952—1966 Cabanis wydał dziewięć powieści. W języku polskim ukazały się dwie mini-powieści zamieszczone w tym tomie, a ponadto powieść „Karty czasu" i esej historyczny „Ten wspaniały Saint-Simon".

Obydwie powieści „Igranie z nocą" i „Bitwa o Tuluzę" połączone są osobami bohaterów.

Mężczyzna, człowiek inteligentny, samotny, egoista, bogaty, niespodziewanie dla siebie i trochę wbrew sobie zakochuje się w Gabrieli. Gabriela cieszy się fatalną opinią mieszkańców rodzinnego miasteczka. Większość panów może pochwalić się przygodami z nią. Ona zresztą nie stara się niczemu zaprzeczyć. Związek z pozoru prosty, łatwy i krótkotrwały komplikuje się. Mężczyzna stara się zatrzymać Gabrielę przy sobie. Opanować jej samodzielność, albo z nią zerwać. W jakiś sposób wyzwolić się od niej. Chociażby poprzez twórczość. Ale wszystko cokolwiek uda mu się napisać jest wizerunkiem Gabrieli. Znajdziemy więc w tej książce doskonały portret psychologiczny ukochanej kobiety oraz subtelną analizę uczuć narratora. Jest to więc historia miłości. Historia odwiecznej gry między mężczyzną a kobietą. Garbiela jest fascynująca, nieuchwytna, zwodnicza, zagadkowa. Mężczyzna nawet będąc z nią odczuwa wieczny głód, niedosyt miłości.

Jose Cabanis: „Igranie z nocą", „Bitwa o Tuluzę". Przekład Jerzy Lisowski, Książka i Wiedza, W-wa 1979, str. 121, cena zł 12.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ZABAWY Z PAPIEREM

Wielokrotnie już podnoszono we wszystkich środkach masowego przekazu, sprawę niedoboru wartościowej książki, spowodowanego trudnościami papierowo-poligraficznymi.

Pojęcia „papierowego kryzysu" nie należy kojarzyć z pojęciem „papierowego tygrysa", choć oba te zwroty brzmią bardzo podobnie. Z papierem rzeczywiście są kłopoty — i to podobno na całym świecie. Ale nie są to aż takie kłopoty, żebyśmy sobie — tu i ówdzie — nie mogli z nimi poradzić.

Na przykład powstała ostatnio nowa oficyna — Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, nie ma co robić z przydzieloną jej pulą papieru. Niedawno czytającą (i myślącą) publiczność zbulwersowało parę informacji na temat planów wydawniczych nowej firmy.

Otóż w firmie tej ukaże się w przyszłym roku pięć książek młodego autora Lecha Borskiego. Łączny nakład — około ćwierć miliona egzemplarzy.

Oczywiście nie chodzi tu o przedsiębiorczego autora piszącego z szybkością komputera. Chodzi natomiast o to że z powodu ograniczeń papierowych nie może być zrealizowany plan wydawniczy polskiej i światowej klasyki w Bibliotece Narodowej „Ossolineum", że PIW-owska seria klasyki coraz bardziej nam chudnie i maleje... W tej sytuacji wydawanie całej serii drugorzędnych książek autora, który z całą pewnością nie jest Józefem Ignacym Kraszewskim — zakrawa na grube nieporozumienie.

Pisząc to wszystko, zadrżała mi ręka Nie dlatego nawet, że Lech Borski jest aktywnym recenzentem stołeczej prasy. Ręka zadrżała mi dlatego, że właściwie nie należy stawiać sprawy w ten sposób. Przecież nie wydanych jeszcze książek Borskiego nie znam — być może jest wśród nich pozycja wybitna. A w ogóle to przecież na rynku księgarskim powinny funkcjonować na równych prawach książki początkujących autorów razem z klasyką.

Ale to tylko teoria. W praktyce wygląda to tak, że wydając współczesną literaturę „drugiego rzutu" — oszczędzamy na klasyce. Jeśli trzeba — z konieczności — dokonywać wyboru, to jednak jestem raczej za preferencją Biblioteki Narodowej.

Skoro nie możemy mieć wszystkiego na raz — musimy z czegoś rezygnować. Potrzebna jest, oczywiście, literatura dydaktyczna, rozrywkowa i sensacyjna — ale nie może ona wypierać dzieł, będących niezbywalnym dziedzictwem polskiej i światowej kultury. Literatura „drugiego rzutu" nie może fnkcjonować zamiast.

A tak często bywa.

Oto jeszcze jedno kuriozum z planu wydawniczego Młodzieżowej Agencji. Otóż ukaże się tam książka pt. „Broniewski". No, nareszcie! — można zawołać czytając tę informację. Wierszy Broniewskiego od dawna nie wydano w pełniejszym wyborze — a w ogóle nawet na 35-lecie Polski Ludowej nie zdążono z publikacją całego dorobku tego wybitnego poety.

Przed paru laty ukazała się monografia bibliograficzna Feliksy Lichodziejewskiej „Twórczość Władysława Broniewskiego". Jest to swego rodzaju „spis rzeczy" całej, bogatej twórczości Poety. Rzecz jednak w tym, że poza tym „spisem rzeczy" nie mamy „Utworów zebranych" z całego dorobku. Były różne wybory wierszy Broniewskiego — luksusowe, albumowe, kieszonkowe — ale całości jeszcze wydawcy nie są w stanie ogarnąć.

Ucieszyłem się więc informacją Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Myślałem, że książka pt. „Broniewski" będzie oczekiwanym od dawna zbiorem utworów Poety.

Niestety, Będzie to wybór... okolicznościowych wypracowań na temat twórczości Broniewskiego, pisanych na apel czasopisma „Walka Młodych".

Jest to pomysł tyle szatański co bezsensowny. Zamiast wierszy wybitnego poety, czytelnik otrzyma zbiór sztampowych wypracowań, których autorzy udowodnią nam, że „Broniewski wielkim poetą jest". Wiemy o tym od dawna i dlatego chcemy czytać Broniewskiego, a nie młodzieżowe wypracowania. A tu rzeczywistość skrzeczy i gombrowiczowski profesor Pimko się kłania.

Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, aby Młodzieżowa Agencja Wydawnicza była poligonem dla prób pisarskich młodych autorów. To też jest potrzebne — ale przecież nie zamiast prawdziwej literatury.

WIDOK

PROPOZYCJE

KOLOROWA SKRZYNKA

Inżynier Arnold Drewniak doczekał się wielkiego spełnienia marzeń. Marzenie było proste. To było marzenie o telefonie. Inżynier A. D. długo czekał na telefon i wcale go nie pocieszała świadomość, że takich jak on jest w Polsce równy milion, a może troszkę mniej.

— Milion to jest bardzo dużo i bardzo mało zarazem — wyjaśnił mi kiedyś inż. Arnold Drewniak. — Na przykład co to jest milion ludzi jeśli jest nas 35 milionów. Albo: niektórzy fascynują się kosztami tego czy innego że coś tam kosztuje milion, dwa miliony, ale co to jest, kiedy niejedna fabryka obraca miliardami. Co to jest wtedy milion? Tylko że dla każdego z nas trafić milion w „Toto lotka", to byłoby coś. A że czeka nas prawie milion na telefon. Jaka stąd pociecha? Gorzej, bo szanse są mniejsze.

Okazało się, że jednak inż. A. D. szanse miał nieliche bo jakoś w lipcu otrzymał pismo, że za kilka dni przyjdzie monter i założy mu telefon. Inż. A. D. przez dwie noce nie zmrużył oka. Czekał, choć czekanie w nocy na montera jest absurdem i głupotą. Ale inż. A. D. czekał.

Doczekał się wreszcie, że na klatce schodowej pojawili się monterzy

— Panowie zakładają telefony? — zapytał ich z nadzieją w głosie.

— Zakładamy.

— A czy ja też jestem w waszych planach?

— Jaki pan ma numer?

— Pisma?

— Nie mieszkania.

— 27.

— Dwadzieścia siedem, dwadzieścia siedem... powtórzył monter zaglądając do zleceń. — Nie, pana nie mamy w wykazie.

— Ale ja dostałem pismo...

— Panie, ile ludzi dostaje różne pisma i co z tego? Urzędnicy są po to aby pisali, a poczta po to, aby doręczała. A my mamy zlecenia i pana w nich nie ma. Pogadaj pan z majstrem.

Inżynier A. D. pogadał z majsterem i okazało się, że jego sprawa jest w drugiej kolejności.

— To znaczy, kiedy? — zapytał cały zlany potem.

— No, za miesiąc, może dwa.

— A nie dałoby się przyśpieszyć?

— Daaaałoooby się — powiedział majster, charakterystycznie przeciągając samogłoski, jakby mówił z głębokim namysłem.

Inż. Arnold Drewniak jest inteligentny i jakoś dało się. Posiada już telefon i to w pierwszej kolejności, choć czekał na niego 7 lat i mógłby jeszcze poczekać dwa miesiące.

— No tak — powiada inż. Arnold D. — mam już ten telefon. Wszystko podłączone. Ale nie działa. Centrala nie włączyła do sieci. Szlag mnie trafia, bo mam wreszcie to, co chciałem i nic. Ani ja nie mogę zadzwonić, ani nikt do mnie nie może. Na złość jeszcze znam już swój numer, dałem go znajomym i czekam niecierpliwie, a tu nic. Można zwariować.

Inż. Arnold Drewniak wszakże nie zwariował. Telefon włączyli w centrali, ale numer zmienili, więc było trochę zamieszania. Znajomi, którzy mieli poprzedni numer inż. A. D. dzwonili do niego, ale łączyli się zupełnie z kim innym Natomiast znajomi zupełnie kogoś innego dzwonili do inż. Arnolda D., ale myśleli, że dzwonią do zupełnie kogoś innego. Minęło parę dni nim się sprawa wyjaśniła Ale wtedy telefon przestał dzwonić.

— To jest drugi etap radości z posiadania telefonu — zwierzył mi się inż. A. D. — Jak już wszyscy znajomi sprawdzą, czy rzeczywiście mam telefon, pogadają sobie, to wtedy przestają się tym interesować, a ja siedzę godzinami i patrzę na kolorowe pudełko i czekam, aż zadzwoni. A ono milczy.

Jednak radość powoli przemieniła się w powszedniość, a nawet dawało się odczuć w głosie inż. A. D. coś jakby irytacja.

— Telefony mamy fatalne — mówił inż. A. Drewniak. — Z nikim nie można się połączyć. Ile codziennie człowiek musi stracić czasu, aby się z kimś połączyć. Albo sygnału nie ma, albo numer zajęty, albo w ogóle nie łączy. W nerwicę można popaść. Ale mimo wszystko telefon to dobra rzecz. Nawet taki fatalnie działający.

Tak myśli nie tylko inż. Arnold Drewniak. Tak myśli również ten blisko milion czekających w całym kraju na telefony. A sprawa — jak to mówią — jest pochyła. Aby telekomunikacja mogła się rozwijać prawidłowo trzeba byłoby przeznaczyć na ten cel około 35 miliardów złotych i dodać do tego 15 milionów zł na modernizację telefonów już istniejących. Ale w tej pięciolatce wyda się na telekomunikację nie więcej niż 18 mld złotych.

Inż. Arnold Drewniak i tak „trafił milion" w telefonicznym „toto lotku".

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

SCHODZIMY DO LĄDOWANIA

W początkach naszego wieku znaleziono wśród papierów, pozostawionych przez Gustawa Flauberta, fragmenty przedziwnego rękopisu, wydanego wkrótce potem ot „Le dictionaire des idees recues", czyli „Słownik komunałów". Całość, której Flaubert nigdy nie dokończył, miała być alfabetycznym spisem pojęć zdawkowych, banalnych liczmanów, które przeciętny człowiek przyswaja sobie najzupełniej biernie i którymi operując stara się utrzymać na poziomie imieninowej konwersacji. Oto przykłady ze słownika:

CYPRYS rośnie na cmentarzach.

DZWONNICA wsi rodzinnej — przyspiesza bicie serca.

KOT — zawsze fałszywy.

ŁABĘDŹ — śpiewa przed śmiercią.

POGRZEB — proszę pomyśleć: tydzień temu jadłem z nieboszczykiem obiad.

POŚWIĘCENIE — skarżyć się, że inni go nie okazują — i tak dalej.

Pomysł słownika komunałów jest świetny i aż dziw, że nikt go w jakiejś nowszej wersji nie podjął i nie zrealizował. Lawina pustosłowia wali się na nas ze wszystkich stron, banalne i wyświechtane frazesy zamulają nie tylko rodaków rozmowy (zresztą — gdzie dziś naprawdę prowadzi się rozmowy? Najwyżej wymienia się informacje, a czasami — przemawia...), ale i wszelkie masowe środki publikacji: radio, telewizję, prasę. Lepka i gęsta lawa wpływa w rejony nazywane twórczymi, flaubertowskie slogany plenią się w literaturze, sztampa jest wszędzie: w kinie, w teatrze, we wszystkich odmianach sztuki.

Oczywiście — poza banalem uniwersalnym każda branża ma swoją sztampę branżową. Są takie zagrywki, takie chwyty, takie zadęcia — które kiedyś miały na pewno wdzięk nowości i dowcipu, a później — powtarzane coraz bezceremonialniej — stały się nieznośną kataryną, świadczącą już tylko o lenistwie umysłowym autora.

Należę do gatunku ludzi piszących i nieraz już kusiło mnie, żeby zebrać choćby niewielki pakiet tak zwanych „pomysłów" dziennikarsko-literackich, które dawno przestały być pomysłami, a są tylko czterdziestą wodą po niegdysiejszym kompocie. Myślę, że nie od rzeczy byłoby ostrzec kolegów po piórze przed zbyt łatwym sięganiem po sztampę, której jedynym efektem u czytelnika jest po prostu: nuda.

Nuda odrzuca mnie z miejsca od reportażu z podróży, zaczynającego się od tego, że — „nasz samolot schodzi do lądowania, zatacza jeszcze jedno koło, już widać białe dachy Pernambuco (albo czerwone dachy czego innego, albo strome wieżyczki jeszcze czegoś tam), już koła dotknęły pasa startowego. Za chwilę powita nas..."

Nie chce mi się już czytać, czy reportera powita Staszek, który w zeszłym roku przewodniczył na zjeździe w ONZ, czy Wojtek — niedawny mistrz świata, czy może Bury, z którym tyle wina wypiło się kiedyś w wąskich uliczkach Malagi. Kiedy czyjś tam samolot schodzi do lądowania — wiem na pewno, że ten typ nie będzie umiał mi powiedzieć niczego ciekawego o świecie poza tym, że jechał, przyjechał i odjechał.

Ostrzegam więc panów wojażerów przed rozpoczynaniem reportażu opisem schodzenia do lądowania. Wymyślcie jakiś inny początek.

Ostrzegam recenzentów przed pisaniem sprawozdań z książek o tematyce wojennej, jeśli trzy czwarte takiego sprawozdania ma być poświęcone arcyodkrywczym rozważaniom nad wielką liczbą takich powieści. Jeśli recenzja zaczyna się tak: „Literatura poświęcona ostatniej wojnie obejmuje już tysiące tytułów" — a potem w treści powtarza tę samą rewelacyjną prawdę na tuzin sposobów — to przecież wiadomo, że do końca człowiek nie dowie się niczego ciekawego o książce, której ona dotyczy. Jednocześnie wiadomo, że recenzent zabrał się do rzeczy z zasobem banalnych frazesów, z „idees recues" zamiast własnych przemyśleń. Sztampa, nuda.

Ostrzegam też przed nadużywaniem w prasie gromkiego tytułu w stylu: „tak, ale jaki". To już zupełna mania, te tytuły: „Buty — tak, ale jakie", „Wolność — tak, ale jaka", „Buraczki — tak, ale jakie". Proponuję nałożyć na takie tytuły embargo na dwadzieścia lat. Potem dorosną nowi czytelnicy i dla nich to będzie dobre. Dla nich można będzie nawet zataczać jeszcze jedno koło nad Łodzią, która wtedy będzie miała własne lotnisko. Naturalnie — wspólne z Warszawą. W Rozprzy.

To dopiero trzy przykłady. Ale nie zamierzamy na nich poprzestać. Będziemy negliżować banał przy każdej okazji, aż się zawstydzi swej mało ponętnej nagości i ustąpi miejsca pojęciom, które parę lat później też staną się banałami.

ĆWIEK

Z GALERII

HENRYK DEBICH

„Mam pewien brak; Ten kolega Bacharach!"

Rys. Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

12 WRZEŚNIA

Fatalne wakacje miał Ryszard Kulesza i ja mu się wcale nie dziwię. Niepogody swoją drogą, a troska o los reprezentacji swoją. Jak to się wszystko razem złoży do kupy to można w końcu zwariować, a jemu przecież tego nie wolno.

Niewesołe życie ma też Edmund Zientara, choć jego kłopotami jakoś mniej się zajmujemy. A niewesołe ma z tego samego powodu. Martwi się o los olimpijskiej reprezentacji.

Ryszard Kulesza i Edmund Zientara martwią się z tego samego powodu jeszcze i dlatego, że pech chciał i 12 września 1979 roku obie drużyny przystąpią jednocześnie do eliminacyjnej walki. Reprezentanci kraju w eliminacjach do mistrzostw Europy grać będą ze Szwajcarią, a drużyna olimpijska w eliminacjach do Olimpiady z zespołem CSRS.

Niewesołe życie obaj trenerzy mają również dlatego, że jeżdżą na ligowe mecze i widzą nie najlepszy poziom. A w radio Bogdan Tuszyński prowadząc relację z poszczególnych meczy i wysłuchując sprawozdań dziennikarzy przebywających na stadionach, powtarza nieustannie: — oj, niedobrze proszę państwa, oj, niedobrze. Co to będzie, jak tak dalej nasi piłkarze grać będą?

Obaj trenerzy mają podobne kłopoty. Ryszard Kulesza martwi się o obronę, bo Antoni Szymanowski jest po operacji łękotki i jeśli nawet powróci do zdrowia, to grać przecież jeszcze nie powinien. Władysław Żmuda też jest po operacji i już mamy dziurawą obronę. Chyba, że się sięgnie po młodych, ale młodzi są potrzebni Edmundowi Zientarze do reprezentacji olimpijskiej, a poza tym wcale tak dużo ich nie ma, choć w każdej pierwszoligowej drużynie są obrońcy.

Ryszard Kulesza będzie miał też kłopoty z drugą linią, bo Zbigniew Boniek jest również po operacji, wycinano mu migdałki. I choć wszystkim mecz ze Szwajcarią może wydawać się nie tak straszny, to nie radziłabym go lekceważyć. Naszą reprezentację nie urządza już nawet remis. Trzeba wygrywać.

Gdyby do całej sprawy można było podejść w sposób matematyczny, to wystarczy tylko uświadomić sobie, że mamy 16 drużyn pierwszoligowych, w każdej drużynie gra po 11 piłkarzy, nie licząc rezerwowych, w sumie mamy 176 zawodników, jest więc spośród kogo wybierać. W tym rzecz, że nie ma. W tym rzecz, że w piłce nożnej, wbrew pozorom, nie decyduje ilość a jakość

Najpierw był cel nadrzędny: „Mundial 78". Jak to się skończyło wszyscy wiemy i nie ma powodu do tego wracać. Ale kiedy sprawy polskiej piłki nożnej podporządkowano „Mundialowi 78", wtedy nie myślano o Olimpiadzie. Edmund Zientara nominację na trenera olimpijskiej drużyny otrzymał dopiero w styczniu 1979 roku. W CSRS i na Węgrzech — a są to nasi rywale w eliminacjach olimpijskich — pomyślano o tym wcześniej. I postąpiono słusznie. Kiedy nasza reprezentacja przygotowywała się do „Mundialu 78" olimpijczycy CSRS służyli naszym piłkarzom za sparring — partnerów.

Nadal aktualnym i nie rozstrzygniętym problemem jest sposób przygotowywania reprezentacji Trener Ryszard Kulesza twierdził, że PZPN doszedł do porozumienia z klubami i kluby będą przygotowywały reprezentantów. Czegóż można nauczyć dorosłych doświadczonych, od lat grających w ligowych drużynach piłkarzy na kilkunastodniowych zgrupowaniach? Poziom naszej ligi niestety nie upoważnia do optymizmu. Klubom bardziej zależy na punktach i lokacie w tabeli niż na zajmowaniu się reprezentantami. Z posiadania reprezentantów pożytku żadnego nie ma, tylko kłopot. Ale zgrupowania wydają się konieczne, choć nie zastąpią klubowych treningów.

Edmund Zientara powiada, że tylko z pozoru można sądzić, iż nie ma olimpijskiej reprezentacji. Turniej w Bytomiu jak i mecze sparringowe były niezbędne dla formowania tej reprezentacji, choć jej skład ciągle się zmienia. I nie wyniki tych spotkań decydują, ale materiał, jaki trener zbiera dla dalszej pracy z olimpijską drużyną.

Wszystko to prawda, ale dopiero 12 września 1979 roku przekonamy się, jakie jest nasze piłkarstwo. Będzie to test prawdy. Wtedy zobaczymy, co posiadamy. I czy mamy powody do optymizmu? Jakby ten test jednak nie wypadł to bez radykalnej zmiany szkolenia, w klubach, bez podniesienia poziomu meczy ligowych, wielkich nadziei mieć na przyszłość nie można.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11. kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1915. A-2.

Załącznik nr. 39(-)79

HASŁO NUMERU: Spróbujmy odpocząć od haseł!

Pisaliśmy w „Załączniku" o przemyślnych drogowcach, którzy — zamiast ulic — asfaltują las przy ulicy Transmisyjnej na Olechowie. Okazuje się, że posądziliśmy niewinnych. Oto pismo, jakie otrzymaliśmy w tej sprawie z Kombinatu Robót Drogowych.

„W odpowiedzi na notatkę prasową z dnia 1 lipca 1979 roku w nrze 26 uprzejmie wyjaśniamy, iż fakty podane w „Wiadomościach z daleka i bliska" są zgodne z rzeczywistością. Nie możemy jednak zgodzić się ze stwierdzeniem, które jednoznacznie określa nas winnymi tego stanu. Za „upiększenie" podanego w notatce terenu winę ponosi przede wszystkim nasz przewoźnik tj. Komunalne Przedsiębiorstwo Transportu i Sprzętu Budowlanego a bezpośrednio nierzetelni i nieuczciwi kierowcy zatrudnieni w tym przedsiębiorstwie. Produkt finalny, czyli mieszanka bitumiczna lub też odpady, które powstają w produkcji, mają określony przez nas kierunek wywozu — jest to realizowana w danym dniu budowa lub teren ściśle określony i przeznaczony do tego rodzaju wywozów. Miejsce opisane w waszej notatce zostało wyznaczone samowolnie przez kierowców obsługujących samochody.

Mgr inż. Stanisław Żyto
Zastępca Dyrektora

OD „ZAŁĄCZNIKA": Przepraszamy niewinnie posądzonych, ale to nie zmienia sprawy. Lasu nie wolno zalewać asfaltem!

Korespondencja „ZAŁĄCZNIKA"

ASFALT NA TRANSMISYJNEJ

I już po wakacjach

Kończą się wakacje i kończą się kłopoty rodziców. Rodzice oczywiście na ogół nie dostrzegają, że dzieci im rosną. A przysłowie głosi, że „małe dzieci mały kłopot, duże dzieci duży kłopot". Dzieci rosną i nie chcą już odpoczywać razem z rodzicami, bo nudno. Ruszają więc w Polskę sami. Albo... we dwoje. I co wtedy? Kłopot i zmartwienie.

„Sztandar Młodych" zwrócił się więc do seksuologa dr Tadeusza Zielińskiego z pytaniem, co mają zrobić rodzice, jeśli ich córka wybiera się z chłopcem na wakacje?

— **Jeśli dziecko było wychowywane tyle lat, to rodzice wiedzą, czego mogą się spodziewać** — odpowiedział wymijająco doktor T. Z.

Rzecz w tym, panie doktorze, że nie wiedzą. A często, na swoje dorosłe dziecko, patrzą przez pryzmat własnych „doświadczeń". Bo któż z nas był taki znów święty. Więc skoro my, to dlaczego oni mieliby być inni? Otóż to. Rodzicu pamiętaj! „Jabłko pada niedaleko jabłonii". Niestety.

ZYG. ZYG.

To Ala i UFO.

Rys. Jan Zieliński

KAPOKI DLA WSTYDLIWYCH

Ludzie mają różne zdolności. Jedni szybko uczą się języków obcych, inni ładnie rysują, inni jeszcze śpiewają nie tylko w łazience, a jeszcze inni dobrze pływają. Pływać powinien umieć każdy i powinno się tego uczyć w szkole, tylko, że nie ma armat, czyli basenów. Stąd Polacy nadal się topią.

Aby się nie topić, wymyślono różne kamizelki ratownicze, zwane też kapokami. Tylko, że jest to sprzęt pokaźnych rozmiarów i z daleka sygnalizujący, że oto ktoś nie umie pływać i boi się utopić. Słusznie zresztą się boi, bo to nic przyjemnego.

Inż. Szczotkowski wymyślił więc kapok pneumatyczny, który każdy może założyć i który w krytycznej chwili wypełnia się sprężonym dwutlenkiem węgla, ratując życie tonącemu. Inż. Szczotkowski wymyślił to przed wielu laty, ale nie mógł znaleźć producenta. Wreszcie znalazł. Produkcji podjęła się Spółdzielnia Inwalidów „Mazowianka". Wypuściła ona serię informacyjną w ilości 6 tysięcy kapoków pneumatycznych. Rozprowadzono z tego 4 tysiące. A spółdzielnia może robić 24 tysiące takich kapoków w ciągu roku. To już byłoby coś, choć jak się takie kapoki przyjmą, to i tak będzie tego mało. Ale coś się zmieniło.

Tylko, że potrzebna do tego była telewizja i redaktor Andrzej Bober z jego audycją „Mam pomysł", wstydliwie zepchniętą do drugiego programu. Po co kłuć ludziom oczy, że telewizja musi wyręczać wiele instytucji, specjalnie powołanych do rozwijania produkcji. Podobnie i tym razem telewizja wymusiła u handlowców, że za... dwa tygodnie kapoki pokażą się w sprzedaży. Czyli już po wakacjach. Do tej pory niech się ludzie topią, bo kapoków, nawet tych przypominających kufajki, nie ma w nadmiarze. Niektórzy uważają, że wystarczą zamiast nich napisy: KĄPIEL WZBRONIONA.

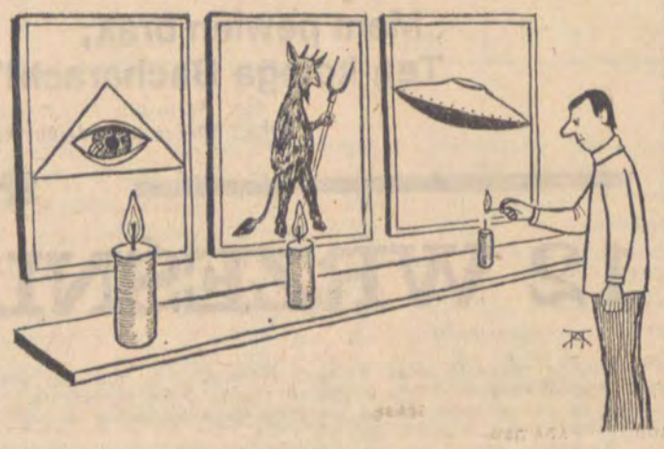

Rys. Andrzej Adamowicz

CO NOWEGO?

„Szpilki" nr 31 z 1979 roku pochwaliły się piórem Marka Mleczki, że **„Deyna był w Warszawie! Na urlopie. Tylko „Szpilki" go złapały!!!"**. Otóż, nie tylko!!! Złapał go bowiem również „Sztandar Młodych". Więc nie ma się znów czym tak chwalić.

Skoro już sobie wyjaśniliśmy, kto kogo złapał i kiedy, to może spróbujmy odpowiedzieć na inne pytanie: co nowego u Kazimierza Deyny

Ze „Szpilek" dowiedzieliśmy się, że **„Anglicy nie piją wódki"**, że na przyjęciach **„jest sztywno, stojąco, zimno"** i Polakom to się nie podoba, że pan Kazimierz mieszka w dzielnicy Winslow i **„jest to dzielnica ekskluzywna"** i że parę królewską pan Kazimierz widział tylko w telewizji. Też dobrze.

Większą możliwość wypowiedzenia się dał Kazimierzowi Deynie „Sztandar Młodych". Z wywiadu dowiedzieliśmy się że w ostatnich 5 meczach K.D. strzelił 6 bramek, że za willę z telefonem (ach, te nasze trudności z telefonami, przez które telefon urasta do rozmiarów basenu z podgrzewaną wodą) płaci klub, a pan Kazio tylko za gaz i elektryczność. Dowiedzieliśmy się też, że **„trener ma władzę absolutną"**, ale o tym już szeroko naopowiadał wcześniej Jan Tomaszewski, dla którego to też było niepojętą rewelacją. Dowiedzieliśmy się poza tym, że **„Legia nie zgadza się na opłacanie Anglikom biletów lotniczych do Warszawy na mój pożegnalny mecz"**.

I tu się pan myli, panie Kazimierzu! Oni nie ze skąpstwa nie chcą widzieć u siebie angielskich piłkarzy, ale ze strachu. Widział pan chyba, jak oni ostatnio grają. Nie ma czym się chwalić.

MAJ

Całą prasę obiegła wiadomość, że w Komisji Kultury i Sztuki Sejmu PRL złożono interpelację w sprawie kosztów realizacji „Życia na gorąco" i wydania scenariusza tego filmu w kilku tomach po 100 tysięcy nakładu każdy. Książkowa edycja „Życia na gorąco" była spowodowana — jak wyjaśniono posłom — brakiem literatury rozrywkowej na rynku księgarskim, postąpiono więc w myśl zasady, że na bezrybiu i rak ryba, ale nie wiadomo, czy ta zasada wszędzie i zawsze jest dobra.

Poza tym wyjaśniono posłom, że realizacja „Życia na gorąco" kosztowała 32 miliony zł i 5 mln forintów, gdyż większość zdjęć kręcona była w atelier oraz w Budapeszcie. Ale okazało się, że to tylko zręczna odpowiedź, aby uspokoić posłów, gdyż lepiej, żeby się nie denerwowali.

Bogdan Maciejewski ujawnił bowiem w „Sztandarze Młodych", że reżyser filmu Andrzej Konic chwalił się w nr 10 tygodnika „Radio i Telewizja" iż film był kręcony w jedenastu krajach. Opowiedział nawet czytelnikom „RiT", jak w czasie kręcenia filmu w Rzymie okradziono mu samochód i co się nie podobało policji w Wiedniu.

A swoją drogą, to brzydko okłamywać posłów!

MIROSŁAW KUŹNIAK

DZIAŁKA

Dostaliśmy działkę. Trzystumetrową. Ucieszyliśmy się, ale najbardziej dziadek. Chodził po działce, uśmiechał się i głową kręcił. Dopiero przy kolacji Ziuta powiedziała:

— **A wiecie, że tę działkę trzeba skopać!**

Bezsprzecznie należało skopać. Niby niewiele, raptem trzysta metrów, a jednak? Technicznie było to proste, praktycznie stanęliśmy przed trudnym dylematem. Kto ma tę działkę skopać?

— **A gdyby tak dziadek...?** — powiedziała Kasia, nasza najmłodsza.

Jasne, że tylko dziadek! Jak mogliśmy zapomnieć o dziadku? Emeryt, dysponujący wolnym czasem, mający nawet doświadczenie w pracy na roli — podczas okupacji pracował trzy lata u bauera — nadawał się wyśmienicie do funkcji kopacza.

Dziadek rozpoczął kopanie wczesną wiosną, a skończył późną jesienią. Trochę wydawało nam się za wolne to dziadkowe kopanie, ale w końcu starość nie radość, któż by tam miał serce staruszka popędzać. Dopiero, gdy dziadek oznajmił, że działka skopana, pojechaliśmy obejrzeć. Rzeczywiście ładnie to wyglądało. Tylko trochę pusto, bo wokół u sąsiadów rosło sporo kwiatów i warzyw. Może tamci mieli nieco młodszych dziadków? Pochwaliliśmy dziadka, napracował się staruszek.

— **Ale w przyszłym roku, dziadku, zacznijcie nieco wcześniej** — powiedziała Ziuta.

Zaczął kopanie wraz z ostatnimi śniegami. Potem nasadził kwiatków i warzyw, zwłaszcza pomidorów, bo je Kasia najbardziej lubi. A kiedy już podrosło, zazieleniło się na naszej działce, pojechaliśmy z całą rodziną obejrzeć. Pięknie to wyglądało. Ale Ziuta zmartwiła się.

— **Ojej, a co będzie, jak nam to wszystko pokradną?**

Kasia od razu zaczęła płakać.

— **Nie widzę innego wyjścia, tylko trzeba pilnować!** — powiedziałem.

— **Ale kto ma pilnować?** — zapytała Ziuta.

— **Dziadek popilnuje!** — krzyknęła Kasia.

Jasne, że dziadek, tylko on! Emeryt, dysponujący wolnym czasem, mający nawet doświadczenie — po wyzwoleniu strzegł fabryki przed szabrownikami — nadawał się wyśmienicie do tej funkcji.

No i stało się. Tylko Kasia martwiła się o swoje pomidory.

— **A może by tak sprawdzić, jak dziadek pilnuje?** — podsunęła Ziuta.

Pojechaliśmy. Księżyc świecił jasno i z daleka widać było naszą działkę. Dziadka również. Siedział na rozkładanym stołeczku pośrodku działki. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że dziadek śpi. Na siedząco. Huknęliśmy mu nad uchem! Zerwał się i jak nie zacznie szczekać... Dech nam zaparło z wrażenia.

— **Co ci się stało, dziadku?** — zaszlochała Kasia.

Dziadek trochę się opierał, ale w końcu wyznał prawdę. Okazało się, że na naszą działkę trwa istny najazd złodziei, chuliganów, tudzież par szukających osobności. Przez pierwsze noce dziadek krzyczał, ale niewiele to pomagało. Chuligani i złodzieje rozpoznali w nim po głosie starego człowieka, no i nie bali się. Dopiero kiedy zaczął szczekać, pomogło. Dziadek z dumą opowiadał, jak to jedni rozpoznawali po jego szczekaniu starego wilczura, a inni boksera. Ci dopiero wiali! Z niejakim zażenowaniem dziadek przyznał, że na zakochane pary nie szczeka, a warczy. I tak sobie staruszek radzi.

Wysłuchaliśmy tej opowieści w milczeniu. No bo niby wszystko w porządku, a jednak? A może by kupić psa? Tylko z psem jest tyle kłopotów, a dla dziadka to przecież sama przyjemność. Emeryt, dysponujący wolnym czasem, mający nawet pewne doświadczenie...

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYSLI PODPATRZONE

- **Często polowania kończą się nagonką na myśliwych.**
- **Niektórzy stają się ateistami, żeby uniknąć spowiadania się ze swoich grzechów.**
- **Miaskanie syren niejednego zwabiło do pustej miski.**
- **Najłatwiej wzburzyć umysły w pustych głowach.**

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 17

Mało kto orientuje się, jak trudno jest znaleźć właściwą kryjówkę dla porwaneko zakładnika. Nie ma na ten temat żadnego opracowania. Trzytomowe dzieło pt. „Jak się skutecznie ukrywać" nie wypełnia dotkliwej luki, zresztą dotyczy gry w chowanego, a nakład dawno rozprzedano. Torpeda proponował prawie ukończony biurowiec Centralnej Zbiornicy Szyszek, skreślony z planu na skutek niedostatecznego przerobu. Nie mógł być dostateczny, bo założono dowóz piasku z daleka, a dowożono z bliska, czyli taniej. Biurowiec stał oszklony i pod dachem, niestety dyskretny wywiad Torpedy ujawnił, że co wieczór przychodzą tam niepoprawni marzyciele, licząc na jeszcze jakiś zawór, klamkę, rozetkę, kabelek. Te rzeczy oczywiście dawno wróciły do gospodarczego obiegu, razem z miskami klozetowymi i częścią podłogowej klepki.

— Może muzeum? — podrzucił magister. — Byłem raz w czymś takim i przez parę godzin nie spotkałem żywego ducha. Gdyby nie karetka reanimacyjna za oknem, do dziś bym się nie obudził. O — proszę: Muzeum Historii Emerytury. W sam raz.

Faktycznie — nikt w te drzwi nie wchodził. Nikt, oprócz założyciela, byłego listonosza Kopcia. Przychodzi co drugi dzień i siadał jako najważniejszy eksponat doręczyciel, który nie zaokrąglał na swoją korzyść roznoszonych emerytur. Taki gotów narobić rabanu, nie mówiąc o tym że zakładnik musiałby w tym lokalu spać z lichym odcinkiem pod głową i jeszcze lichszym, historycznym wymiarem się przykryć.

Zacisznym miejscem wydawał się Ośrodek Wymiany Doświadczeń Użytkowników parasoli. Stały tam importowane zestawy wypoczynkowe oraz okolicznościowe stoliki, przy których żadna okoliczność nie zdołała nigdy skupić dwóch osób. Jednej też nie. Leżał tam tylko „Przegląd Parasolniczy", „La Parapluie" oraz dwustustronicowy „Der Neue Regenschirm" z nagą dziewczyną pod parasolem. Była ładna, a nikt nawet okiem nie rzucił. Starzała się i porastała kurzem.

— No jak? Kanapa jest, rozrywki kulturalne są.

— Ale ten skrót! — Gzyms miał delikatną naturę i podczas wizji lokalnej kręcił nosem. — Jakże przy paniach takie słowo? Jak dacie cynk tamtemu facetowi — że dziewczyna jest w OWDU... nie, kurza twarz!

Już myśleli, że będzie trzeba umieścić Mariolkę za segmentem u Kapiszona jako kolejną żonę — precedens był, tamte dwie przecież by zrozumiały. Ale narzeczona? Narzeczone z trudem rozumieją męskie dusze. Odpada! Szef gangu — Ciupek, a w cywilu starszy inspektor Puciek, znalazł radę: wymyślcie coś. Ja mam dosyć zmartwień ze stanikiem. Jak dopiąć, kiedy żona tak lubi sernik?

Na szczęście radę podsunęła Mariolka. — Ta wizyta u kosmetyczki! Stracę kolejkę... Chyba że...

— Siadać! — powtórzył Gzyms widząc, że Kapiszon musi startować na pych i stracił szansę towarzyską. — Chyba że co?

— Chyba że panowie mnie tam zawiozą. Co? — wskoczyła lekko, a obcisłe spodnie zatrzeszczały w szwach.

Nazajutrz zaś inspektor Puciek wszedł do budki telefonicznej i podniósł słuchawkę.

Dalszy ciąg nastąpi.